MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 52. WARSZAWA, 9 GRUDNIA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

O GODZIWY USTRÓJ GOSPODARCZY

CO TU dużo mówić — świetna książka. Nie upłynęła minuta, jak czytałem ostatnie jej słowa — a już piszę o niej sprawozdanie. Wydaje mi się, że szkoda każdej chwili, że odrazu trzeba zapoznać czytelników z radosnym faktem jej ukazania się. Wreszcie mamy próbę naprawdę narodowego „systemu gospodarczego". Mam na myśli książkę Adama Doboszyńskiego p. t.: „Gospodarka Narodowa".

Do niedawna stanowisko narodowe w sprawach gospodarczych wyglądało tak: „Socjalizm zbankrutował, liberalizm zbankrutował; trzeba wymyślić coś trzeciego, ale niewiadomo jeszcze, jak to się będzie nazywać". To była opinja ludzi bardziej wyrobionych i lepiej się orjentujących w sprawach gospodarczych. Ale byli i tacy, którzy doradzali: „stanowczo trzeba zrobić wybór — albo narodowy *(sic!)* socjalizm, albo liberalizm"...

Pan Doboszyński formułuje „coś trzeciego". A jak to się ma nazywać? Bardzo prosto: Gospodarka Narodowa.

Dziwna rzecz, jak daliśmy sobie zasuggerować pewne szablony. Gospodarstwo, oparte na prywatnej własności, to kapitalizm, na kolektywizmie to socjalizm. Jest alternatywa: albo — albo. Taki doktrynerski sposób myślenia, to niewątpliwie wpływ semitów, którzy w dużej mierze przyczynili się do stworzenia nauki ekonomji.

Obciążeni temi szablonowemi sposobami myślenia, wchodziliśmy w życie i poznawaliśmy prawdę. Z początku ostrożnie i z bojaźnią próbowaliśmy szukać szczerb i luk w gmachu teorji. Nie przewidziała tego, nie pamięta o owem. Ale oczywiście, to drobne usterki. Potem widzieliśmy tych szczerb i luk coraz więcej, gmach teorji wydawał się nam coraz mniej użyteczny. Z natury rzeczy zaczęliśmy się zastanawiać nad jego p o d s t a w a m i.

Konserwatywna szkoła gospodarcza w obu swoich głównych odłamach, t. j. liberalno-kapitalistycznym i komunistyczno-marksowskim, tworząc naukę o d z i a ł a l n o ś c i l u d z k i e j, abstrahowała od tego, co jest w człowieku ludzkie. Była mechaniką, która stara się wytłumaczyć prawa rządzące... dziedziną ducha. A czy w tej dziedzinie mogą być jakieś p r a w a mechaniczne? Czyż nie o wiele większą jest rola p r a w — n a k a z ó w moralnych?

Świadomość, że ekonomja nie spełnia swoich zadań, zrodziła się w nas, gdy poznaliśmy życie gospodarcze Polski.

Nie znaleźliśmy w naszej wiedzy ani wytłumaczenia tego, co się dzieje wkoło nas, ani wskazówek, jak to, co jest, zmienić. A widzieliśmy, że zmienić trzeba... Zaczęliśmy więc ustalać pewne poglądy własne. Początkowo wyglądało to tak, że tworzyliśmy sobie wyjątki od nakazów liberalnej polityki gospodarczej, że znajdowaliśmy dziedziny, w których nie działają prawa ekonomiczne, gdyż założenia ich stają się fikcją.

Systematyczny zbiór wyjątków od doktryny liberalnej nosił miano „narodowych zasad polityki gospodarczej". Ale zbiór wyjątków nie może nikogo porwać i natchnąć zapałem. Wyjątków i wątpliwości rodziło się coraz więcej. Wreszcie przyszła chwila, w której zrezygnowaliśmy z zasad, wymagających zbyt wielkiej liczby wyjątków. Negacja jest pierwszym krokiem do stworzenia czegoś nowego. Zrozumieliśmy, że trzeba stworzyć system nowy i zaczęliśmy go tworzyć. A raczej z a c z ę l i ś m y p r a c o w a ć n a d p r z y s t o s o w a n i e m s t a r e g o, d o b r e g o s y s t e m u d o n o w y c h s t o s u n k ó w. To była droga najlepsza.

Dziś już to rozumiemy, ale brak było dotychczas w literaturze polskiej książki, któraby dawała syntezę tych właśnie, nowych poglądów na zagadnienia gospodarcze. A luki tej nie można było zapełnić literaturą obcą. Gdy punkt ciężkości wiedzy ekonomicznej przenosi się od mechaniki i dedukcji abstrakcyjnej na politykę gospodarczą, gdy eko-



nomja nabiera cech wiedzy normatywnej, musi z natury rzeczy nastąpić pewne zróżniczkowanie tej gałęzi wiedzy. Kiedy ekonomja ograniczała się do ustalania uniwersalnych praw, podobnych do praw fizycznych, była nauką międzynarodową. Gdy zaczyna szukać dróg urzeczywistnienia pewnych nakazów moralnych w życiu gospodarczem, staje się wiedzą narodową, ponieważ każdy naród na swój sposób, licząc się ze swojemi warunkami, będzie te nakazy wcielał w życie.

Mógłby ktoś powiedzieć, że mówię o polityce gospodarczej, a nie o ekonomji. Ekonomja o tyle ma swój sens, o ile daje konkretne wskazówki dla polityki gospodarczej. Musi dać znajomość zasad ogólnych i warunków konkretnych, dotyczących określonego organizmu gospodarczego, a, opierając się na tem, polityk będzie wiedział, co ma robić. Zdaje się, że pojęcie „wiedzy dla wiedzy" jest już takim samym przeżytkiem, jak wiele zdobyczy tej wiedzy z ubiegłego stulecia...

Potrzebna nam była taka książka o narodowej polityce gospodarczej. Książka polska nietylko z języka, ale i z ducha. Dał nam ją Doboszyński. Zaczyna się od streszczenia poglądów gospodarczych św. Tomasza z Akwinu, które są uzasadnieniem części drugiej, polityczno-gospodarczej.

Ale jeden z recenzentów słusznie doradza zacząć jej lekturę od drugiej części. Dlatego od części drugiej, że tam znajdzie czytelnik wiele swoich własnych poglądów, ale w formie opracowanych, sprecyzowanych czasem nawet w szczegółach zaleceń.

Mgławica nieokreślonych postulatów i pragnień zamienia się w książce Doboszyńskiego na logiczną całość, na system gospodarki narodowej polskiej.

Jakież są podstawy tego systemu? Dążenie do sprawiedliwości w życiu gospodarczem. A więc:

1) zniesienie niewoli odsetek, zapewniających dochód bez pracy, pojęte zresztą zgoła nie po doktrynersku, likwidacja bankowości prywatnej, zakaz kredytu hypotecznego dla rolnictwa;

2) uwłaszczenie mas w miastach i na wsi, dekoncentracja produkcji;

3) uspołecznienie takich przedsiębiorstw, przy których własność prywatna jest już czystą fikcją (spółki akcyjne, gdyż niema bezpośredniego związku właściciela z własnością);

4) odbudowa ustroju stanowego;

5) samostarczalność pojęta w sposób rozsądny;

6) usunięcie obcego (żydowskiego i zagranicznego) wyzysku i spolszczenie życia gospodarczego.

Jak to urzeczywistnić? — zapyta czytelnik. Otóż na tem polega wartość książki Doboszyńskiego, że daje odpowiedź na to pytanie. Nie chcę jej bliżej streszczać. Jeszczeby kto pomyślał, że ze streszczenia poznał myśli Doboszyńskiego.

Powiem tylko, że Doboszyński przystępuje do omawianych zagadnień bez doktrynalnego talmudyzmu, a z niemałą znajomością życia.

Może nie we wszystkich punktach zgodziłbym się z Doboszyńskim. Mam np. pewne zastrzeżenia co do jego wywodów o podatkach. Ale to są szczegóły. W całości nie można się oprzeć przemożnemu wrażeniu jednomyślności młodego pokolenia narodowego, jeżeli chodzi o zagadnienia gospodarcze. Jest w tem jakaś dziwna tajemnica.

Kto chce tę tajemnicę poznać, niech wróci do pierwszych kartek książki Doboszyńskiego, t. j. do św. Tomasza. A potem jeszcze do przedmowy, gdzie Doboszyński pisze, że dla niego autorytetem jest św. Tomasz z Akwinu „nietylko dlatego, że był wielkim myślicielem, ale przedewszystkiem dlatego, że był świętym".

Otóż zasady „Gospodarki Narodowej" opierają się na pismach świętego Tomasza. Może to jest właśnie tajemnica owej jednomyślności...

Jakże się zmieniają czasy... Co to kogo z praktycznych działaczy ekonomicznych mogło obchodzić przed laty kilkudziesięciu: poglądy gospodarcze świętego Tomasza?

MARJAN SZARZYŃSKI

ODCISK DŁONI

II

NIKT jeszcze (o ile mi wiadomo) nie uwydatniał głębi, mądrości i rozległości umysłu, które w twórcy „Protokułów" widoczne są na każdej dzieła jego stronicy. Przyczyna tego wśród narodów aryjskich milczenia jest zrozumiała: ponieważ owe „Protokuły" zawierają program osłabienia, rozprzężenia i opanowania wszystkich narodów przez naród żydowski, więc ludzkim zwyczajem widzi się w nich tylko siłę wrogą i złośliwą, z pominięciem ich wartości bezwzględnej. Ale taki zwyczaj ludzki jest małostkowy i szkodliwy. We wrogu tembardziej trzeba umieć dojrzeć i ocenić zalety ducha i umysłu. Naszkicujemy tu, przeto, bodaj pobieżnie, bezstronną charakterystykę twórcy programu, w „Protokułach" zawartego.

Uwagę naszą zwraca w nim przedewszystkiem niewzruszona, pełna spokoju i powagi postawa patryjarchy narodu. W broszurze omawianej niema ani śladu agitatora, propagatora, lub jakiegokolwiek (choćby w najszlachetniejszym gatunku) mówcy publicznego. Przemawia tu „nauczyciel" — w starożytnem hinduskiem tego słowa znaczeniu, przemawia półgłosem do nielicznej gromadki słuchaczów. W jego tonie i zwrotach dźwięczy stale nuta podwójna: niezachwianej wiary w naukę, którą głosi, oraz niezgłębionej miłości do narodu własnego. Pomimo, że jego nauka omawia sposoby pokojowego, a więc na podstępach i oszustwie opartego niszczenia innych narodów, w programie przezeń głoszonym nie wyczuwa się ognia pogardy i nienawiści. O narodach mówi się tu ze spokojem i chłodem takiej wyższości, na jakiej znajdują się, naprzykład, rozmowy naszych myśliwych o stadach bizonów, albo wilków, które trzeba podstępami różnemi rozproszyć i opanować, albo osaczyć i wystrzelać.

Patryjarchalna powaga, wiara w naukę własną i miłość swojego narodu — to są cechy, do których dochodzi się nietylko drogą rozmyślań

głębokich, ale i wewnętrzną wartością moralną. Nie dziw tedy, że poprzez postawę, którą zarysowałem, przemawia w broszurze omawianej filozof-moralista. Na każdym kroku natrafiamy tu na wzgardliwą a słuszną ocenę wszelkiego rodzaju wad i przywar ludzkich. Pijaństwo, prywata, zawiść, rozpusta, chciwość, próżność, egotyzm, lenistwo, pieniactwo, samowola, zarozumiałość, łapownictwo, anarchja, przekupstwo, lekkomyślność, zbytek i t. d. są tu z niewysłowionym spokojem — nie napiętnowane: słowo to za hałaśliwe, ale — na odpowiedniem miejscu postawione. Jako przykład tonu i postawy moralnej, przytoczę miejsce o pijaństwie:

„Pijaństwo będzie również zakazane przez prawo i karane, jako występek przeciw człowieczeństwu ludzi, zmieniających się pod wpływem alkoholu w zwierzęta".

Zaś jako przykład obrazu społeczeństwa, do którego twórca programu zmierza, przytocze następujących kilka zdań syntetycznych:

„Damy ludziom korzystać z pokoju, ze stosunków normalnych, z poszanowania godności, pod warunkiem jednak stosowania się do praw, wprowadzonych przez nas. Wyjaśnimy wszystkim, że wolność nie polega na samowoli i wyuzdaniu, zarówno jak siła i godność nie stanowią prawa do głoszenia zasad wywrotowych w rodzaju swobody sumienia, równości i t. d., — że wolność osobista w żadnym razie nie daje prawa podniecania siebie i innych przez wygłaszanie wstrętnych przemówień na zebraniach bezładnych, lecz że wolność istotna to — nietykalność obywateli, stosujących się dokładnie i uczciwie do praw współżycia, że godność ludzka zawarta jest w poczuciu prawa, oraz w zrozumieniu bezprawia, nie zaś tylko w fantazjowaniu na temat własnego „ja". — "

Z tych i tym podobnych ideałów programu omawianego jasno zarysowuje się postać twórcy jego, postać w stylu absolutyzmu oświeconego, z zabarwieniem czysto żydowskiej patryjarchalności. W ostatnich rozdziałach broszury zaczyna pobrzmiewać nawet górny ton zachwycenia, właściwy Księdze Proroków, tam mianowicie, gdzie mowa o królu z dynastji Dawida i o tem, że narody ziemi padną przed nim na twarz, jako „przed tym, który ma na czole pieczęć przeznaczenia".

Do tego jednak ideału, według programu, naród żydowski może dojść tylko przez zniszczenie wszystkich społeczeństw (oprócz żydowskiego), a do zniszczenia tego ma przed sobą jedną tylko drogę, drogę rozkładu wewnętrznego całej kultury narodów rdzennych. I oto mamy przed sobą w broszurze omawianej wykład metod, jakimi „naród wybrany" ma

„zabić dawne społeczeństwa, chociażby przez zatopienie ich w ich własnej krwi, aby je następnie wskrzesić pod postacią prawidłowo zorganizowanego wojska, walczącego świadomie z wszelką zarazą, mogącą dotknąć organizm państwowy".

Twórca programu wie, że środki jego są złe, ale tłumaczy je tem, że cel je uświęca. Mówi tedy między innemi:

„Chwilowe zło, które obecnie zmuszeni jesteśmy popełniać, stanie się źródłem dobra, a mianowiecie — władzy niezachwianej. Ona przywróci prawidłowy bieg mechanizmowi życia narodów, zepsutemu przez liberalizm. Wynik uświęca środki. W planach naszych winniśmy zwrócić uwagę nie tyle na to, co dobre i moralne, ile na to, co potrzebne i użyteczne".

Czy w zestawieniu takich dwóch krańcowości moralnych można odnaleść jakie przeciwieństwo do zasad religji żydowskiej? Niema żadnego! Wiadomo powszechnie, że żydzi mają od Jehowy powielekroć powtarzane zapewnienie, iż będą panowali nad narodami kuli ziemskiej, oraz uroczyste nakazy „potarcia tych narodów laską żelazną" a co do sposobów, to począwszy od oszustwa, a kończąc na zabójstwie, Talmud w stosunku do „gojów" pozwala żydom na wszystko. Jaka jest tej księgi świętej moralność, o tem daje ogólne wyobrażenie tytuł traktującego o niej rozdziału we wspomnianem już dziele A. Niemojewskiego. Tytuł ten brzmi: „Kodeks kamorry żydowskiej zawarty w Talmudzie". Nawiasem mówiąc, książka Niemojewskiego powinna być przełożona na główne języki Europy zachodniej, jako dzieło źródłowe i bezwzględnie prawdę obnażające. W Polsce żydzi książkę wykupili i jest ona teraz rzadkością księgarską.

Jak w moralności swojej w stosunku do narodów obcych, tak i w obszarze oraz charakterze zagadnień społeczno-politycznych program omawianej tu broszury jest dalszy ciągiem, rozwinięciem i do nowożytnych warunków przystosowaniem wielowiekowej pracy przewodników narodu żydowskiego. Umysł twórcy tego programu zadziwia swoją rozległością. Nietylko finansowa i gospodarcza dziedzina życia ma w nim pierwszorzędnego znawcę i reformatora. Zna on równie dobrze i przemyślał gruntownie sprawy szkolnictwa, uniwersytetów, wychowania wogóle, sądownictwa, adwokatury, kolektywizmu (komunizmu), indywidualizmu, psychologji tłumu, znaczenia religji, sposobów rządzenia, ustroju państwowego, organizacji społecznej — i t. d. We wszystkich tych sprawach obraca się swobodnie, podając słuchaczom swym wskazówki zwięzłe, jako z rozmyślań swoich wnioski ostateczne.

Ale, obok rozległości umysłu i wielu cech genjalnego myśliciela, zdradza on również w programie swoim luki i błędy, dochodzące w paru miejscach aż do dziecinnej, poprostu wzruszającej naiwności. Przez porównanie z Talmudem i z osławioną mądrością rabinów łatwo stwierdzić, że luki te i błędy mają swoisty charakter umysłowości żydowskiej. Twórca programu, w omawianej broszurze zawartego, zna społeczeństwo narodów rdzennych tylko zwierzchu i od strony złej. Poza wadami ludzi i ich urządzeń, na przestrzeni całych dziejów ludzkości nie widzi on (poza żydostwem) nic dobrego, szlachetnego, twórczego, pięknego, duchowego... albo nie widzi, albo wręcz — nie zna dziejów ludzkości, a to na sposób wszystkich rabinów, w Talmudzie zatopionych. Ze świata „gojów" znają rabini tylko to, na czem żydzi mogą pasorzytować, t. j. wady ludzkie i społeczne. W zakresie zaś wiedzy, wynalazków i urządzeń materjalnych, jak np. rolnictwo, inżynierja, wojskowość i t. p., jak każdy rabin, tak i twórca omawianego programu popełnia błędy nie do uwierzenia naiwne i śmieszne.

Tem oto tłumaczy się jedno miejsce w broszurze, na które oskarżyciele w procesie berneńskim wskazują, jako na dowód jej sfałszowania. Miejsce to brzmi, jak następuje:

„Twierdzicie, że goje rzucą się na nas z bronią w ręku, jeżeli przedwcześnie zrozumieją, o co chodzi. Przeciwko temu posiadamy na Zachodzie możność użycia takiego manewru, że zadrżą serca najdzielniejsze: są to tunele dla kolei podziemnych, które do tego czasu będą przeprowadzone we wszystkich stolicach. W chwili odpowiedniej będą one wysadzone w powietrze razem ze wszystkiemi organizacjami i dokumentami państwowemi".

Słowa te w naiwności swojej i z ducha są tak znamiennie rabiniczne i talmudyczne, że właśnie to miejsce trzeba uznać za jeden z najjaskraw-

szych dowodów prawdziwej żydowskości owych „Protokułów". W tem właśnie miejscu odbiła się maleńka, zawiła i najbardziej charakterystyczna linja dłoni żydowskiej, utrwalona, jak to forma wskazuje, w swobodnej rozmowie pomiędzy wykładowcą a słuchaczami („twierdzicie"...). Żaden fałszerz nie zaryzykowałby takiego nonsensu dla umocnienia żydowskiego charakteru swojej roboty, ani nawet nie umiałby wpaść na pomysł podobny...

Uwagi powyższe wystarczą dla zobrazowania mądrości i swoistości umysłu twórcy „Protokułów". Można tu jeszcze dodać tylko to, na co wielu już ludzi wskazywało, jako na „proroctwa" broszury omawianej, które w ciągu ostatnich lat trzydziestu w znacznym stopniu się ziściły. Nie są to jednak żadne proroctwa, ale poprostu zbiorowe i metodyczne przez żydów wykonywanie programu w „Protokułach" zawartego. Od Ligi Narodów, która w broszurze nosi nazwę „Nadrządowej Administracji", albo „Nadrządu", aż do monopolów, organizacji policji, wychowania, sądownictwa i t. d. — wszystko, co w oczach naszych w wielu krajach się odbywa, „Protokuły" podają w formie programu, a całe żydostwo — w formie stosowania tego programu. I niema w tem żadnych cudów nadprzyrodzonych.

Jakkolwiek tylko w głównych zarysach naszkicowany, ciąg rozważań powyższych upoważnia do wniosków następujących:

1° Jak ze względu na formę, tak tembardziej — na treść, nie może być mowy o tem, żeby „Protokuły" mogły być falsyfikatem.

2° Wszystkie cechy „Protokułów" — ich mądrość, ich błędy, ich ideje, teorje i marzenia odznaczają się dokładną zgodnością z cechami świętych ksiąg żydowskich, stanowiąc nowożytne uzupełnienie wielowiekowej pracy przewodników narodu żydowskiego. Jest-to zatem pozytywny i nieodparty dowód prawdziwości, czyli żydowskości „Protokułów".

3° Jako dokument polityczny, dotyczący, mianowicie, zewnętrznej polityki narodu żydowskiego, „Protokuły" są dziełem historycznie tej samej wagi, jak w „Księciu" zawarty zarys polityki Machiavellego, albo jak wszelkie dokumenty polityki Napoleonów i Bismarcków świata ludzkiego. Z tego powodu dokument ten powinien być powszechnie znany i od wszelkich oskarżeń sądowych wolny

(Dok. nast.) STANISŁAW PIEŃKOWSKI

Sprostowanie. W poprzednim ciągu, w zeszycie „Myśli Narodowej" Nr. 51 na stronicy 752 w łamie pierwszym w wierszu 36 od góry opuszczono słowo „ich". Należy tu czytać: „ażeby z bezwzględną pewnością ustalić tożsamość ich odcisku z dłonią" i t. d.

WIELKI CZARODZIEJ

„PAN BÓG, który jest sprawiedliwością najwyższą, wyznaczy mu w przyszłości tem większą i mniej zaprzeczoną chwałę, im bardziej gorzkiem i udręczonem było jego życie", — tak przepowiadał, wkrótce po śmierci Balzac'a, jeden z mniej znanych jego wielbicieli (Albéric Second w artykule *„Constitiutionnel'a"* z 1852 roku).

Stało się podług jego przepowiedni, i dzisiaj chwała Balzac'a trwa wśród rzeszy światłych czytelników w tej niezaprzeczonej postaci, w jakiej żyją w ich wyobraźni tacy, jak Szekspir, Napoleon i t. p„ krytyka zaś oficjalna nietylko nie ośmiela się pomniejszać tej chwały — jak to często zdarzało się za życia twórcy „Komedji Ludzkiej" i później — lecz sama ją zwiększa, wykazując w gruntownych pracach, iż słusznie ona mu się należy.

Jedno z pierwszych miejsc wśród tego rodzaju prac, poświęconych kultowi Balzac'a, przyznać trzeba książce wybitnego badacza literatury francuskiej, prof. Ernesta Roberta Curtius'a, napisanej przed dziesięciu laty, a dopiero dzisiaj ukazującej się w przekładzie francuskim. („Balzac", str. 434. Edition B. Grosset).

Książki tak wszechstronnie traktującej zagadnienie osobowości twórczej oraz rodzaju twórczości Balzac'a; tak dokładnie analizującej jedno i drugie oraz wykazującej ich osobliwość, głębię i wielkość; książki tak znakomicie zwiększającej poznanie nasze istoty samego twórcy oraz dzieła jego, jak to czyni praca Curtius'a — nie posiadają Francuzi w swojej bogatej literaturze balzakowskiej.

Czyżby więc ta książka była jakiemś objawieniem całkiem nieznanych rzeczy, dotyczących Balzac'a? Czyżby dawała klucz, otwierający nam drzwi, wiodące do tajemniczego labiryntu jego istoty twórczej? Bynajmniej — tem ona nie jest! Owszem, niejednokrotnie nawet jej autor korzysta z kluczów tego rodzaju, włożonych mu do ręki przez jego poprzedników na polu wnikania w naturę Balzac'a; on tu tylko rozwija i uzasadnia w doskonale opracowanych rozprawach to, co inni wyrazili jednem trafnem zdaniem, co wyczuli i zrozumieli w duchu wielkiego twórcy, rzec można — poznaniem intuicyjnem.

Zasługa Curtius'a polega między innemi na tem, że on przekonywa dowodnie, iż ci, co go poprzedzili w podziwie dla osoby twórczej Balzac'a, oraz w uwielbieniu jego dzieła, mieli zupełną słuszność.

Takich było niemało, nawet w czasach, w których krytyka urzędowa wyraża się z wielkiemi zastrzeżeniami o dziele Balzac'a, albo złośliwie umniejszała jego wartość (Sainte — Beuve np., później Faguet, Brunètière i t. p.). Tak np. w początkach zawodu pisarskiego Balzac'a pisał o nim Philarête Chasles: „Nie jest on analitykiem, jest czemś lepszem lub gorszem, jest jasnowidzem". Georges Sand określa „Komedję Ludzką" temi słowy: „Każda z tych książek jest stronicą wielkiej księgi". Dostojewski pisze w 1838 r.: „Balzac jest wielki. Jego charaktery są to kreacje genjuszu uniwersalnego". W tym samym czasie Robert Browning, w liście do E. Barrett, tak się o nim wyraża: „Podziwiam go bardzo za jego moc, bez względu na użytek, jaki z niej robi" — i otrzymuje odpowiedź: „Jest to pisarz, którego potęga jest prawdziwie wspaniała — posiada on dar widzenia i wyrażania rzeczy wielkiego jasnowidza... Niema, podług mnie, żadnego pisarza we Francji, który mógłby się z nim równać"...

Po zgonie Balzac'a, głosy podziwu i zachwytu coraz częściej się rozlegają, a pochodzą z rozmaitych stron — od swoich i od obcych, wśród

których niejeden należy do znakomitości świata literackiego.

Nad grobem składa mu hołd W. Hugo. „Balzac" — mówił — „był jednym z pierwszych pomiędzy największymi, jednym z najwyższych pośród najlepszych. Nie tu miejsce na powiedzenie wszystkiego, czem był ten świetny i władczy umysł. Wszystkie jego książki tworzą jedną księgę, żywą, promienną, głęboką, w której widzimy jak się porusza, w jakimś szale i straszliwem połączeniu z rzeczywistością, cała nasza cywilizacja współczesna". W następnem pokoleniu, o wiele głębiej od grzmiącego w próżni Jowisza Olimpu romantycznego, ujmie jakby sam rdzeń twórczości Balzac'a, Karol Baudelaire.

„Balzac wielki, straszliwy, różnolity" — powiada on w 1858 r. — „wyraża potwora cywilizacji oraz wszystkie jego walki, ambicje i szały. Niejednokrotnie zdumiewało mnie, że wielka sławę Balzac'a widziano w tem, iż uchodził on za obserwatora. Wydawało mi się zawsze, że główną zasługą jego było, iż jest on wizjonerem, i to wizjonerem namiętnym. Wszystkie jego postacie są obdarzone zapałem życiowym, którym on sam jest przeniknięty... Od szczytu arystokracji, aż do niskich warstw gminu, wszyscy aktorzy jego komedji są bardziej chciwi życia, czynniejsi i przebieglejsi w walce, żarłoczniejsi w używaniu i bardziej anielscy w poświęceniu, niż to ujawnia komedja świata rzeczywistego. Krótko mówiąc u Balzac'a każdy jest genjuszem. Wszystkie jego dusze są jakby bronią, nabitą wolą aż po paszczękę. Takim właśnie jest sam Balzac". Dla Barbey d'Aurevilly jest on „wielkim człowiekiem z racji swego charakteru oraz genjuszu", na twórczość jego nadto rzuca autor „*Les Diaboliques*" tego rodzaju światło: „Tam, gdzie zdawało się, przenikał on widnokrąg aż do ostatniej granicy, przebijał on jeszcze inny, który się otwierał w głębiach pierwszego"...

Z obcych podziwiali Balzac'a: Oscar Wilde, Strindberg, Rainer Maria Rilke, Hugo von Hofmannsthal i t. p., słowem wybór jednostek, obdarzonych żywem poczuciem piękna oraz wielkości twórczej.

Dla O. Wilde'a był Balzac „wybitną kombinacją temperamentu artystycznego i umysłu naukowego"; — „jego charaktery" — powiada następnie — „mają życie płomienne. Panują nad nami i urągają sceptycyzmowi".

Strindberg, znękany życiem, nazywa Balzac'a „wielkim czarodziejem". „Prowadzony ręką Balzac'a" — wyznaje — „miałem wrażenie, iż żyję innem życiem, i to do tego stopnia, że zdawało się mi, iż miałem dwa istnienia".

Hugo v. Hofmannsthal wreszcie, w pełnym zachwytu wstępie do wydania niemieckiego dzieł Balzac'a, powiada: „Ta wielka wyobraźnia, której bogactwo treściowe niema nazwy, wyobraźnia twórcza największa, najistotniejsza, jaka istniała od czasu Szekspira"... a dalej o jego artyzmie: „Chór aniołów Fra Angelica nie świadczy o pendzlu czystszym od postaci z powieści „*Cousine Bette*". W tych kolorach, w tych barwach, co są właściwie ostatniemi elementami rzeczywistości duchowej, niema nic zmąconego, chorobliwego, bluźnierczego i niskiego. Są one niezniszczalne, żaden powiew złośliwy nie może ich uszkodzić. W nich drga radość absolutna, której nie narusza ponura powaga tematu, podobnie jak boska radość dźwiękowa, rozlana w symfonji Beethoven'a, nie może być, w żadnym momencie, zmącona straszliwą wielkością wyrazu muzycznego"...

Są to wszystko wymowne świadectwa kultu Balzac'a, dowód podziwu i zrozumienia jego ducha twóczego oraz jego dzieła. Jedno i drugie idzie tak daleko, że chyba dalej iść nie trzeba, by go uczcić należycie.

To też, co do istoty rzeczy, E. B. Curtius dalej nie poszedł, a krocząc śladami swych poprzedników w uwielbianiu Balzac'a, stwierdza przedewszystkiem zgodność ich poglądów z rzeczywistością (oczywiście, nie było to zamiarem jego książki, tak jednak się stało samo przez się), a sądy ich, wyrażone częstokroć w zdaniach aforystycznych, rozwija szeroko w studjach szczegółowych, w których analizuje źródła i składniki genjuszu oraz twórczości Balzac'a. Dopomaga mu w tem znakomicie sam twórca „Komedji Ludzkiej", który w liczne postacie swoich utworów przelał całą swoją istotę duchową, określał niejednokrotnie przez nie naturę własnego genjuszu, wkładał w nie potęgę swej żądzy życia, siłę swych namiętności i obdarzał je szczytnością swych dążeń — własnem udręczeniem upartego „poszukiwacza absolutu", jakim był.

Stąd też, według głębokiej uwagi Baudelaire'a, każdy u Balzac'a jest genjuszem, wszyscy są tam uosobieniem zapału życiowego i są „nabici" wolą od stóp do głowy — gdyż takim jest sam Balzac.

Badając jasnowidztwo, wyobraźnię, wolę, namiętności, miłość, słowem cały zasób energji twórczej tych nieśmiertelnych postaci „Komedji Ludzkiej", poznaje się jednocześnie rodzaj tej samej energji ich twórcy, poznaje się osobowość samego Balzac'a.

Całą jej przebogatą treść, jej głębię i potęgę roztoczył przed nami Curtius w pełnych niepospolitej erudycji studjach, odpowiadających jakby oddzielnym warstwom, z których składała się ta zdumiewająca całość. Więc naprzód ukazuje się nam ta siła, której nacisk na istotę wewnętrzną Balzac'a pogrąży go w otchłań udręki i ekstazy jednocześnie, uświadamiając mu jego powołanie. Siłą tą, nurtującą w najpoufniejszych głębiach jego istoty, jest: energja twórcza.

Jej porywy i naciski zadecydują o dramacie wewnętrznym Balzac'a, określą dzieje jego żywota. W młodości, nie znajdując dla siebie odpowiedniego ujścia i formy, skaże go ona na tortury duszne; w wieku dojrzałym, tryskając obficie w wielorakich kształtach, i otwierając nieznane głębie w widnokręgach, zdawałoby się już przenikniętych do ostatniej granicy — jak się wyraża Barbey d'Aurevilly — wciągnie go w wir nieustannej walki, w której strawi się jego moc i przetnie się przedwcześnie nić jego życia. Wszelka treść jego istnienia, jego żądze, namiętności, miłość — wypływają z tej siły pierwiastkowej, są przeobrażeniem jednej jej postaci w inną, zmianą kierunku oraz celu energji twórczej.

Sztuka Balzac'a jest podobnież ogromnem przeobrażeniem tej energji, bowiem na dzieło swoje przeniósł on wszelkie moce namiętne swego życia. Sztuki tej, zdaniem Curtius'a, niepodobna zrozumieć, gdy się pomija naczelną ideję metafizyczną Balzac'a, mianowicie dążność jego umysłu do ujęcia wszechświata w całość harmonijną.

„Francja Kartezjusza, Voltaire'a, J. de Maistre'a i t. p. nie zna" — powiada Curtius — „idei cało-

ści (totalizmu); staje ona po jednej stronie, jedna strona prawdy, którą nazywa rozumem, bądź naturą, jej wystarcza. Wybiera ona antytezę i walkę, nie zaś harmonję i kontemplację. Lecz istnieje jeszcze inna Francja, ta, co wynalazła katedry zanim poszła do szkoły klasycyzmu. Ta Francja pragnie budować, chce wyrażać całość ducha ze wszystkich stron i z całem jego bogactwem, nie poświęcając jednocześnie niczego owej potrzebie ładu oraz hierarchji. Jest to ideja kierownicza myśli francuskiej, a Balzac jest jej uosobieniem".

To właśnie, podług Curtius'a, czyni go pokrewnym najgłębszym aspiracjom ducha niemieckiego, wskutek czego — konkluduje — należy on, z powodu samej natury swojej, do dwóch narodów.

Nie zatrzymujemy się zbytnio na powyższem radosnem odkryciu niemieckiego wielbiciela Balzac'a, gdyż ważniejsze jest dla nas to, że uzasadnia on wybornie, iż tę wizję całości, jedności idej oraz zmysłów, wyraża Balzac i realizuje w sztuce swojej. Przeniknąć ją można, wychodząc z tej idei, jest ona bowiem zasadniczym pierwiastkiem jego istoty, jego świata duchowego oraz jego dzieła. U niego życie, myśl, twórczość tworzą jedność nierozerwalną. Słowem, zdaniem Curtius'a, sztuka Balzac'a jest niczem innem, jak tylko energją przeobrażoną, a jednocześnie wyrazem — zastosowaniem i sprawdzeniem — tego wszechświata, który zawarty jest w nim samym. Można więc utrzymywać, iż dotarł on do tej głębi ostatecznej, gdzie intuicja poznająca oraz intuicja stwarzająca stanowią jedno, gdzie umysł zdobywa ów klucz magiczny, co pozwala poznać świat i jednocześnie stworzyć go na nowo.

Jeżeli tak jest, to — jak twierdzi Curtius — próżną i omylną jest rzeczą tłumaczyć twórczość Balzac'a, zwracając się jedynie do psychologji i estetyki. Ilekroć to robiono, tyle razy dawano fałszywy i karykaturalny obraz Balzac'a, dzieło bowiem i człowiek, które zawierają całkowity wszechświat, mogą być należycie wytłumaczeni tylko z punktu widzenia jego całości.

(Mimochodem zauważmy, że prawdziwą nowością w badaniach nad B. jest w książce Curtius'a to rozważanie osoby oraz dzieła jego z tego właśnie punktu widzenia — i nieprzestawanie na naturalistycznem i psychologicznem tylko ich ujmowaniu).

Sam Balzac zwracał często uwagę na to, iż twórczość jego nosi charakter metafizyczny, a teorja jego sztuki należy do sfery metafizycznej i spekulatywnej. Poucza ona, że sztuka jest to misterjum z tej dziedziny, jest tajemnicą publiczną i świętą, otwartą dla wszystkich, co ją pragną odczytywać tylko z wierzchu, uchwytną natomiast dla nielicznych, gdy chodzi o przeniknięcie do jej istoty poufnej.

Podług tej teorji artysta jest jasnowidzem, którego wizja wewnętrzna prowadzi nas do samego środka życia. Obdarza ona artystę zdolnością drugiego widzenia, co mu pozwala odgadywać prawdę we wszelkich możliwych sytuacjach.

Ponieważ świat jest tajemnicą, prawdziwie głębokie jego poznawanie odbywać się może na drodze odgadywania, t. j. poznania intuicyjnego.

Powyższa teorja jest, o czem świadczą wyznania Balzac'a oraz liczne postacie „Komedji Ludzkiej" — jego doświadczeniem wewnętrznem, sformułowaniem tych procesów twórczych, przez jakie sam przechodził. Balzac czuł w sobie tę zdolność tajemniczą, wiedział, iż źródłem jego sztuki, jego twórczości, jest intuicja odgadująca.

Stąd nie wynika, żeby szedł wyłącznie za jej wskazówkami i gardził faktami doświadczenia zewnętrznego oraz obserwacji, t. zw. „dokumentami ludzkiemi".

Owszem, wiemy, że je nieraz sumiennie gromadził, że polegał także na obserwacji własnej i obcej.

Ale w ten sposób poznana rzeczywistość służyła mu tylko do sprawdzenia i poparcia jego intuicji, jego wizji wewnętrznej świata i życia, która była pierwszym i głównym motorem jego twórczości.

Ona mu wkładała do rąk ten klucz magiczny, którym otwierał tajemnice życia, niedostępne innym; ona wyrwała legjon postaci jego dzieła z uścisków śmiertelnych materji bezwładnej, z chaosu bezdusznego „dokumentów ludzkich".

Powstały te postacie nie z kurzu ziemskiego, lecz z promieniotwórczej, subtelnej substancji ducha — z zapału życiowego, z woli, którą są wypełnione po brzegi, z potężnej energji twórczej, jakiej sam Balzac był wcieleniem.

Dlatego to one — i sztuka, z której się zrodziły — obdarzone zdolnością, jak ich twórca, wywoływania w sobie całości wszechświata, tajemniczej prawdy istnienia, pod takim urokiem trzymają tych, co z niemi obcują; dlatego wywołują w nas wrażenie jakiegoś drugiego, większego i bogatszego życia.

Dlatego też temu, co je stworzył — prawdziwie należy się miano „Wielkiego Czarodzieja".

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

CZŁOWIEK TWÓRCĄ KRAJOBRAZU

II

MAŁY dworek w zaścianku lub folwarku wyrastał na sposób wioskowy w bezpośredniem otoczeniu stodoły, obory i innych budynków, stłoczonych dookoła. Ale tonął w gęstwie drzew i krzewów, posiadał przed gankiem trawniczek, kwiatowe grządki, a tuż opodal świronek albo lamus naśladował ganek szeregiem słupów, podpierających dach — i tak pierwotność użyteczności prowadziła stopniowo do klasycznej kolumnady wielkich empirowych dworów i pałaców. Na potoczystym krajobrazie równinnego, lekko sfalowanego kraju, dwór wznosił się tylko nieznacznie swemi okrągłemi kępami drzew. Bezwiedne poczucie estetyczne człowieka wieńczyło tę wyniosłość kilkoma wysmukłemi wieżyczkami topoli, które nadawały całości sylwetę piramidalną, odcinającą się wyraziściej i stanowiącą lepsze dla oka oparcie.

Tworzyła się w ten sposób wzorowa kompozycja architektoniczna, którą ziemianin wysnuwał

intuicyjnie ze swej jaźni, tak jak instyktowo lepi pszczoła doskonale foremne komórki woszczyzny, by w niej zamknąć słodki miód swej pracy. Wyrastał całokształt dworu, na który miło było patrzeć zdala, a gdzie było słodko i radośnie zagłębić się w szczegóły otoczenia. Dom miał twarz przyjazną i bratnią: okna jego patrzały wzrokiem pradziadów ze starych portretów, wiszących w pokojach. A te wkoło domu rosnące, niewymyślne, nawpół zdziczałe kwiatki, jakże miłym wyglądem witały one gościa — przechodnia! Te różnokolorowe malwy, piwonje, floksy i georginje, dorosła brać wśród niemowlęcych barwinków, stokrotek, bratków i niezapominajek... Te bluszczowe oploty powojów, pnące się ku niedużemu oknu różowemi i szkarłatnemi płomykami, ażeby gdzieś wkońcu stulić się uściskiem z girlandami chmielu czy dzikiego wina i wędrować razem po ścianach domostwa aż na dach wysoki, omszony rdzawo-burą pleśnią z zielonemi łatami! Te samorosnące we wdzięcznym nieładzie kępowiska jaśminów, głogów i kalin, szumiące pszczołami zarośla akacyj, bzów i leszczyny, siedziska ptasich szczebiotów i fruwań, czatownie zwinnych kocurów, milczkiem pilnujących upatrzonej skrzydlatej zdobyczy!...

A wewnątrz dworku bielone pokoje z belkowanemi sufitami, jesionowe krzesła i kanapy, komody z pracowitem włóczkowem przykryciem, w rogu ochrypły szafkowy zegar z mosiężnemi wagami, na ścianach dożynkowe wianki i kościuszkowskie portrety, nad drzwiami „Błogosławieństwo Duchowe domu", pożółkłe ze starości i spoglądające z góry dobrotliwem wejrzeniem, nad łóżkiem spłowiały dywan z zielonemi jeleniami, nad skrzyżowanemi strzelbami krzyż i gromnica... I stare kalendarze, rejestry i modlitewniki na półce, obok barometru z bernardynem, osobiście wróżącym pogodę, i pęki ziół pachnących, zwieszone z belkowanego pułapu, i rozłożysty piec z zielonych kafli, skrzypiący drzwiczkami żałośnie i jakiś niematerjalny zapach tradycji, prostoty, pokoju i ciszy...

W tych białych wnętrzach rozumiało się naprawdę etymologję psychiczną pięknego, iście słowiańskiego pojęcia „pokoju", mieszczącego w sobie nie reprezentację cudzoziemskiej „komnaty", nie użytkowość kmiecej „izby", nawet nie sybarycki kwietyzm wygodnego rzymskiego „*tusculum*", tylko — duchowy pokój po uczciwej pracy w domowem zaciszu. Dwór polski nie znał „salonu", który przyszedł późno wraz z francuskim obyczajem epoki Stanisławowskiej, tak jak nie znał ceremonjalnych gości, odrabiających krótkie wizyty, bo dla miłego sąsiada cały dom był na usługi. Miał zato niejeden pokój gościnny, niejedną „bokówkę", ciasną i niekomfortową, ale przeznaczoną na dłuższy pobyt gościa, z którego przyjściem „Bóg w dom wchodził". Miał wielką, obszerną sień, później przedpokojem nazwaną, gdzie na rogach jelenich wisiały burki i inny zwierzchni przyodziewek, na ścianach ciemniały napoleońskie sztychy, a gdzie przy okrągłym stole środkowym, zarzuconym czapkami i przyborami myśliwskiemi, odbywały się pierwsze powitalne gawędy, zanim się nie przeniosły do suto zastawionej jadalni. Ta ostatnia była przestronna, jak serce gospodarskie: przyjmowała gościa nie krótką, odświętną wystawnością, tylko przyjaznem wessaniem w bieg codziennego życia, jego prostych praw, radości, zabiegów i wczasów — gromadziła pospołu i domowników i starszą czeladź i miłych sąsiadów, mieszając niekiedy razem obydwie nazwy pokoju jadalnego i gościnnego. Bo gość nie był człowiekiem obcym — był to ktoś swój, bliski, złączony węzłami sąsiedztwa, pokrewieństwa i wspólnoty życia. Polska rozlewna serdeczność i dobroduszność potrafiła przecież z nieprzyjemnego pojęcia „*hostis*" (wróg, obcy) utworzyć biegunowo przeciwne wyobrażenie radośnie witanego przyjaciela—gościa, gdy jednocześnie staroruskie „*gost'*" oznaczało tylko przybysza — kupca, przywożącego towar wymienny (*gostinnyj dwor*—hale targowe). Pomimo licznych smutnych doświadczeń z zaborczym sąsiadem poczciwość polska wolała widzieć w obcym nie łacińskiego „*hostis*", tylko niepodejrzanego o złe zamiary „gościa".

Dwór średniego typu różni się od dworku nietyle zawartością, ile raczej rozmiarami. Częściej już murowany, pysznił się czterema białemi kolumnami wysokiego ganku, którego dymnikowe okno, promienisto podzielone na trójkątne szybki, dziwnie przypominało oko Opatrzności z kościelnych frontonów. Dach miał łamany, czterospadkowy, o linji brzeżnej dolnego kantu wygiętej na podobieństwo namiotu, lekkiej i wdzięcznej. Nie wydłużał się ani wywyższał ponad swoje foremne proporcje czworoboku o przysadzistym wyglądzie, a o niewiarogodnej pojemności: miał doskonałą „bryłę" sześcienną, jeśli zaś z biegiem czasu wyrastał z niej dobudówkami i skrzydłami bocznemi, to czynił to tak umiejętnie, że nigdy nie zatracał dominowania masy głównej, a uzupełnienia zaznaczał wyrazistem podporządkowaniem linij ściennych i rytmiką dachów. Taki dom stał już nieco opodal od zabudowań gospodarskich, tworząc osobną całość z rozległym trawnikiem i dużym sadem owocowym i jagodowym. Kwiatami osadzone ścieżki prowadziły w sadzie do altan, alei i szpalerów lipowych, grabowych lub świerkowych, które stanowiły zarazem naturalne ograniczenie ogrodu, a kończyły się opodaj w przyległym gaju, albo też schodziły ku stawom lub rzeczułce, zarośniętej olszyną i spływającej w nizinne łąki poza dworem. W ogrodzie kultura użytkowa i zdobnicza mieszała się z pierwotnością bujnego rozrośnięcia, tworząc malowniczą całość, pełną samotnego uroku, w której królowały ogromne, rozłożyste, wspaniałe drzewa. Żeby opisać te podniebne, szeroko rozgałęzione topole, te rozwiewne, kędzierzawe brzozy o czarniawej, gruzłowatej korze, te smutnie szumiące sosny-samotnice, te kuliste kasztany i klony z listowiem gęstem i cienistem, te czarne baldachimy łapiastych świerków i przysadkowate kadłuby rozczochranych wierzb; żeby godnie pokazać cały ten lud olbrzymów, te gromady przyjaciół, powierników i towarzyszy wielu pokoleń— na to nie dosyć kochać je najtkliwszem, najwierniejszem kochaniem — na to trzebaby być wyłącznym poetą drzew, jak Ejsmond, i dać o nich całą księgę.

Więc tu zapytać tylko należy: czy oprócz słońca, ziemi, wody i powietrza, nie wykarmiły i nie wypielęgnowały tych pięknych drzew, tych miłych, niczem niezastąpionych przyjaciół—bratnie serce ludzkie, myśl zapobiegliwa i umiejętna, pracowita ludzka dłoń?

Kiedy szlachcicowi rodził się syn, na jego pamiątkę sadzono dąb albo lipę, zwaną jego imieniem i nietykalną dla następnych pokoleń, jak relikwja rodzinna. Piecza o takie drzewa wchodziła w krąg domowego życia. I tak familja ziemiańska

wzrastała w pobratymstwie z rówieśną rodziną drzew — symbolicznych towarzyszy krzepkiego, zdrowego żywota wśród tej samej natury. Współżyjąc z pięknemi drzewami, uczono się kochać je i cenić, jak stworzenie żywe, jak domowników, nierozłącznych z losami dworu i niejedna matka pozwoliłaby raczej sobie uciąć rękę, niżby dała zrąbać drzewo, zasadzone w dniu urodzenia jej pierworodnego syna.

Norwid nazywa Polskę krajem osobliwym, gdzie ludzie witają się słowami nie własnej, lecz bożej chwały i gdzie kruszynę chleba „podnoszą z ziemi przez uszanowanie". Szacunek dla spraw ziemi, domu i rodu był obok miłości drugą cechą, znamienną dla naszego ziemianina. Bez gromkich frazesów i bez współczesnego upodobania do „reprezentacji" umiano czcić własne gniazda domowe i dbać o ich niezmienne zachowanie. Zwyczaj gruntownego przerabiania domu przyszedł dopiero z zagranicy i ustalił się późno, na schyłku epoki. Z wyjątkiem klęski pożaru szlachcic nie zamieniał starego domu na nowy — on go rozbudowywał wzdłuż i wszerz, tworząc nawarstwienia architektoniczne o swoistym wyrazie, które stanowiły niepisaną historję rodu i dworu. W całym stosunku ziemianina do swej siedziby przebija nietylko przywiązanie, ale i uszanowanie tego widomego relikwjarza tradycji rodzinnej, widnieje powaga i uwaga — nieodłączne cechy kultury ducha.

Przytoczmy parę przykładów tej uwagi, zachowanych jeszcze do niedawna. W Hołynce (na wschód od Klecka), opisanej tak serdecznie w „Pamiętnikach Ewy Felińskiej", znajduje się w parku duży, trójkątny kamień. W owalnym otoku czytamy na nim napis, odręcznie wyryty: „R. 1802 Przez Stanisława i Ewę Wendorffów Ten Ogród założony". Opodal na innym kamieniu dają się jeszcze odcyfrować wiersze dłuższej allokucji:

„Luby potomku, Ty krwi naszej plemię
Co po swych przodkach obejmiesz tę ziemię..."

i na końcu słowa: „Noś piętno na sobie wiecznego kamienia". Było to zapewne wezwanie rodowe do wytrwania i przetrwania — zwykły, powszedni nakaz naszych przodków, wyjęty z codziennego życia, jak słowo codziennego pacierza. Dziś już ogrodu tego niema — są tylko zdziczałe zarośla i pojedyńcze drzewa, ale poważna i godna myśl jego założycieli — idea trudu wśród domowego piękna — pozostała jako przykład, nauka i wspomnienie. W okolicach Tuchanowicz i Worończy jest dwór Ostaszyn, który należał kiedyś do rodziny Ottenhauzenów, później do Grabowskich. Tam, nad drzwiami starego domostwa o gotyckich szkarpach do ostatnich czasów przed wojną wisiała tablica, a na niej widniały słowa:

„Twórco! Niech my mieszkamy w tem gnieździe [ojczystem
A Ty nas opatrz zdrowiem i sumieniem czystem,
Pożywieniem uczciwem, ludzką przychylnością,
Obyczajmi znośnemi, nieprzykrą starością".

Działania wojenne zniszczyły i dom i dwór ostaszyński i tę tablicę. Pozostała tylko pamiętać o ludziach szanownych, którzy umieli zakładać gniazdo ojczyste z prostotą i pielęgnować je z godnością. Nie zdołali go jednak uchronić od pocisków niemieckich i od rosyjskich armat, od rabunku dzikich hord na samej linji frontu wojennego nad rzeką Serweczą.

Przykłady patrjarchalnego stosunku do domu i ziemi możnaby mnożyć w nieskończoność. Ale i przytoczone wystarczą, by odpowiedzieć na pytanie, czy te obrazy dworu polskiego, przeznaczonego do pracy i wypoczynku, do spokojnego codziennego trudu i do pogodnych uciech rodzinnych — czy nie odbijają one w sobie, jak w zwierciadle, duchowego oblicza jego twórcy i pana?

Trzeci, najwyższy rodzaj pańskiej siedziby stanowiły pałace i zamki — dziedzina odrębna i tak bogata, że nie da się scharakteryzować w ramach pobieżnego szkicu. Więc przypomnijmy tylko, że te magnackie siedziby świeciły wzorami piękna architektonicznego, że były archiwami i muzeami, w których przechował się dorobek kulturalny, wykwint i smak, nauka i sztuka wielu pokoleń. Że nieraz każdy budynek w takich dobrach był dziełem sztuki budowniczej, złączonem w estetyczną całość z drzewami i roślinnością, że kwietniki tam były kobiercami, a parki — obrazami, malowanemi w samej naturze przez trafny dobór barw i ugrupowanie plam i kształtów. Że taki dwór był oazą piękna i rozsadnikiem cywilizacji, oświaty, doświadczonej sąsiedzkiej porady, skutecznej pomocy lekarskiej, że promieniował szeroko w okolicę — słowem polskiem i słowem bożem, że jeśli dzisiaj z kilku miljonów białorusinów jeden miljon czuje się całkowicie Polakami i stał się nimi dobrowolnie, bez najmniejszego nacisku i przymusu, to jest to wyłączną zasługą dworu polskiego i kościoła, przez ten dwór zbudowanego i utrzymywanego. Ziemie wschodnie, zwane dzisiaj lekceważąco kresami, zdobył, utrwalił i zachował dla swej wielkiej Ojczyzny szlachcic polski mieczem i pługiem, a bez „kresów" północnych i południowych ojczyzna ta byłaby o połowę mniejsza i z mocarstwa zeszłaby do roli państewka...

(Dok. nast. JAN BUŁHAK

JESIENNA GRUDA

U nas, daleko, o tej porze
Mróz ziemię grabi, ziemię orze:
Stoją kanciate, suche, próżne
Na wszystkich polach wszystkie bruzdy.

Przyprószył śnieżek tu i ówdzie
Ruń wybujałą, lód na bruździe:
Ptak, zaskoczony dziwem owem,
Pazurem stroszy sobie głowę.

Wiatr przytupuje dla odwagi
Na polu zimnem, polu nagiem:
Spojrzał, odmierzył, tnie jak rózgą
Ptaka nie ptaka, ruń nad bruzdą.

Ktoś — koń nie koń, uzda nie uzda —
Już się przewalił! Mknie po bruzdach...
To nic. To tylko ja, skrzydlata,
Tutaj przelatam, tu przylatam.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

NA WIDOWNI

Propaganda walki z analfabetyzmem. — Wspomnienie. — Co skorzystali moi uczniowie? — Czytanie prasy brukowej. — Potrzeby umysłowe inteligenta. — „Standardyzowany magiel". — Cywilizacja jest sprawą ducha. — Nie jak, ale co rozpowszechniać.

PRZEZ kilka tygodni (był właśnie „miesiąc propagandowy", zorganizowany przez Polską Macierz Szkolną) ze szpalt gazet wołały ku mnie wezwania: „Naucz czytać analfabetę!", „Dobrze zasłużysz się Polsce, nauczywszy czytać analfabetę" i t. p. We wspomnieniu wracały, jakże odległe już, lata okupacji niemieckiej, kiedy, jeszcze jako uczeń gimnazjalny, zbierałem, podczas miesięcy wakacyjnych, gromadkę wiejskiej dzieciarni i wtajemniczałem ją w sztukę rozpoznawania liter przy pomocy „Elementarza" Promyka. Jak szlachetna wydawała mi się wtedy owa rola, ileż zadowolenia niosła mi myśl o pełnieniu szczytnego, patrjotycznego obowiązku!

Dziś konkretniej usiłuję wyobrazić sobie dalsze losy tych, ślęczących wówczas nad abecadłem, dzieciaków. Część została, oczywiście, na wsi, inni przesiedlili się do miasta, chłopcy najczęściej do fabryki, dziewczęta do służby. Jakąż korzyść rzeczywistą, moralną odnieśli oni ze zdobytej umiejętności, w czem ich ona udoskonaliła, podniosła? Czy jedynym Sezamem czarodziejskim do którego otwarłem im wrota, nie okazałby się tani dziennik sensacyjny, przebogata skarbnica wiedzy o przeżyciach małżeńskich p. Melcer lub szczegółach procesu Gorgonowej? Czy lektura nie popsuła polszczyzny ich mowy, rejowskiej i reymontowskiej, zastępując jej odwieczną czystość i piękno żargonem reporterskiego szablonu? Czy, ucząc czytać, nie wdrażałem ich w praktyce do bezmyślności, wydając, ufnych, na pastwę drukowanemu nonsensowi, suggestjom ogłupiającym i szkodliwym?

„Oświatowiec" miałby tu replikę łatwą, gotową: „Oczywiście, nie dość jest nauczyć czytania, trzeba dać do ręki „dobrą książkę", odpowiednie popularne wydawnictwa". Cóż będzie jednak, gdy to „dobre wydawnictwo" odłoży były analfabeta jako niepotrzebne, gdy zainteresują go, odpowiedzą jego upodobaniom, właśnie, naprzykład, „Ostatnie wiadomości", albo inna tego gatunku prasa?

Zagadnienie nie jest tak proste, nie ogranicza się tylko do sprawy „oświaty ludu". Powiedzmy szczerze, jakie wartości istotne, w zakresie doskonalenia swojej kultury duchowej, zdobywa dziś przeciętny inteligent, w życiu codziennem, dzięki posiadaniu umiejętności czytania? Pominiemy użyteczność praktyczną tej sztuki, niezbędnej — rzecz prosta — w zawodowej pracy adwokata, lekarza, ministra... Czy, poza tą fachową potrzebą, nie korzysta on ze znajomości liter tylko w tym celu, by przerzucić dziennik brukowy, lub czasami — na wakacjach, w wagonie — brukową powieść?

Dochodzimy do sedna rzeczy. Cały nacisk położony został na sposób komunikowania myśli, jaknajszybsze, jaknajpowszechniejsze jej udostępnienie, przy pomocy oświaty elementarnej, udoskonaleń technicznych, propagandy. Coraz świetniejsze mamy metody popularyzacji i coraz mniej się troszczymy, co popularyzować. Najwspanialsze maszyny rotacyjne, kosztowne linotypy, pracują gorączkowo, bez wytchnienia, by jaknajprędzej poinformować całe społeczeństwo o najnowszych zdobyczach myśli p. Stpiczyńskiego. Wielopiętrowe wieże stacyj radjowych, najdoskonalej urządzone rozgłośnie istnieją i działają w tym celu, by cała Polska mogła słyszeć „na falach eteru", jakie poglądy ma p. Jellenta (Hirszband) na współczesne zjawiska literackie. Megafony po najdalszych kątach wielkich sal roznoszą ględzenia mówców, powtarzających wyświechtane, pozbawione treści frazesy. Zdania bez sensu plakatuje się po ulicach miast i miasteczek, wplatane do niezdarnie redagowanych wezwań czy odezw..

Człowiek ma dziś imponujące narzędzie dla zamieniania z bliźnimi swoich myśli, lecz treść tych myśli, najczęściej, bynajmniej nie imponuje. Zajmuje go przedewszystkiem plotka, zarówno w polityce jak w życiu prywatnem, jej poświęca najwięcej ciekawości i uwagi. Dawniej plotka była bardziej zindywidualizowana, rodziła się w rozmowie: inteligent szukał jej w kawiarni, kucharka w maglu. Dziś w dziedzinie tej nastąpiła standardyzacja przez wytworzenie się prasy brukowej. Codziennie, ściśle o tejże samej porze dziesiątki tysięcy otrzymują tę samą porcję plotek, jednakowo spreparowanych,z takiemsamem słówkiem żartu czy zgrozy, takiem samem mrugnięciem poufałem lub niedomówieniem: czy będzie wojna?, podobno śmierć pani X nie była śmiercią naturalną?, jak to było z przyjaźnią hrabiego i artystki?, ile kosztowały te brylanty? Nazywa się to: „interesujący reportaż", „ujęcie po dziennikarsku"... Dzięki rozpowszechnieniu się czytelnictwa wśród mas, mamy „standardyzowany magiel", „standardyzowaną kawiarnię", plotka ustna zastąpiona została schematem drukowanym. Na ten właśnie użytek — w wielkiej mierze — obrócono zdobytą umiejętność. Ale czy to postęp cywilizacji, wyższy szczebel w rozwoju człowieczeństwa?

Cywilizacja jest zjawiskiem z porządku duchowego, techniczne udostępnienie nie rozwiązuje w tym wypadku bynajmniej sprawy. Może istnieć oświata powszechna, nie być w kraju ani jednego analfabety, a bibljoteki mogą stać pustkami, kultura ginąć, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania. Cóż pomoże budowanie kolejek górskich, gdy nikomu nie będą się podobać górskie widoki? W gruncie rzeczy zagadnienie jest moralne: co uważa się za sens i wartość życia, co uznaje się za ważne w świecie, cel i przedmiot swoich umiłowań? Warstwy więc t. zw. oświecone niech pomyślą przedewszystkiem o sobie: niech ustalą, w co wierzą, do czego dążą, niech istotnie tworzą i pociągają. Nie to jest najgorsze obecnie, że technicznie trudno się porozumieć, ale to, że, mając możność rozmowy, tak niewiele mamy sobie do powiedzenia.

Nie jak, ale co rozpowszechniać jest dziś w Polsce najważniejszem zagadnieniem. Więcej jest przedmiotów do przemyślenia, niż gotowych formuł do propagandy. Nakaz chwili jest jasny i wyraźny. Treści trzeba — ta już łatwiej znajdzie sobie sposoby, by przeniknąć do umysłów i serc narodu.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

OBCHÓD ROCZNICY POWSTANIA 1830 roku ogranicza się już dzisiaj tylko do uroczystości Szkół Podchorążych, których dzień 29 listopada jest świętem oficjalnem. Powolne zacieranie wspomnienia tego tragicznego momentu naszej historji nie jest wynikiem sprowadzenia jego znaczenia do własciwej miary, — świadczy o tem dobitnie owo bezustanne bredzenie, w okolicznościowych artykułach i przemówieniach, o „zasługach" Wolnomularstwa Narodowego, i t.p.,— ale raczej skutkiem przeniesienia przez cały, bodaj że najsprawniej ze wszystkich sanacyjnych działający, aparat propagandowy, — punktu ciężkości historji Polski na lata ostatnie (od Bezdanów począwszy na przyjeździe z Genewy min. Becka skończywszy).

Nie o tem wszakże chcemy dzisiaj mówić. Parę słów poświęcimy jednemu tylko szczegółowi listopadowego obchodu, a mianowicie nieodłącznej dzisiaj od wszelkiego rodzaju uroczystości — akademji.

Odbyła się ona w ratuszu i w swoim programie zawierała m. in. scenę deklamowania pacyfistycznego wiersza Tuwina o nieznanym żołnierzu. Recytator był ubrany w mundur zniszczony, oblepiony błotem, co miało w sposób realistyczny podkreślać okropność wojny. Utwór ten podobno wywołał „wstrząsające wrażenie".

Przemycanie podczas uroczystości szkół rycerskich, — między wierszami żydowskiego poety,— tendencyj, godzących w ducha, jakim winny być one przejęte, wywoływanie tego rodzaju „wstrząsających wrażeń" jest, nazwijmy to po imieniu — skandalem.

Czyby nie lepiej już było uczynić to znacznie wyraźniej? Wyglądałoby to, mniej więcej, tak: po scenie z „Nocy Listopadowej" Wyspiańskiego i po gromkim okrzyku: „Do broni!", wchodzi na scenę agitator i rąbie prosto z mostu:

„Rżnij karabinem w bruk ulicy
Twoja jest krew, a ich jest nafta!"

wrażenie bowiem byłoby w tym wypadku poprostu piorunujące i... jaknajbardziej pożądane. Jakie? Przypomnijmy sobie tak niedawny, męski odruch armji, po artykule Uniłowskiego w „Wiadomościach Literackich".

Więc możeby tak w roku przyszłym spróbować?...

OSTATNIE WYBORY W LWOWSKIEJ IZBIE ADWOKACKIEJ pokazały całemu społeczeństwu polskiemu, jak wygląda „polska" inteligencja. Przyjrzyjmy się cyfrom. Oto skład Izby: Polaków — 15%, licząc w tem także „żydów, którzy są i uznają się Polakami" — jak podały dzienniki, a więc, właściwie, najwyżej 10%; Rusinów — 10%; reszta t. j. 80% żydów.

Dotychczas żydzi łaskawie dawali Polakom tę samą ilość mandatów do Rady, jaką sami posiadali. 8 na 8. Przy ostatnich wyborach postanowili wyzyskać swoją przewagę liczebną i zdobyć „należną" im ilość przedstawicieli.

Próżne były tłumaczenia adwokatów-Polaków, daremne deklaracje, oświadczenia. Żydzi byli nieubłagani. Jest ich 80% w Izbie — musi ich być przynajmniej 80% we władzach Izby. To już jest *numerus clausus* dla Polaków.

A Lwów — jedno z miast najbliższych sercu każdego Polaka ma 80% adwokatów żydów...

WYCHOWANIE NARODOWE

KARTA INDYWIDUALNOŚCI

Z XVIII wieku dochodzi do nas głos Jakóba Rousseau: „Nie znamy dotychczas dziecka z powodu fałszywych pojęć, jakie sobie o niem wyrobiliśmy. Starajcie się przeto poznać uczniów waszych, bo z pewnością nie znacie ich wcale".

Istotnie, nie znano dawniej dziecka i nie starano się go głębiej poznać. Pedagogika była nauką abstrakcyjną, związaną ściśle z filozofją, a psychologja miała charakter spekulatywny, robiąc domysły o naturze dziecka na zasadzie retrospekcji osób dorosłych.

Naukowe badanie psychiki dziecka rozpoczęto w Ameryce w końcu XIX wieku. Zaczęto w tym celu studjować nauki pomocnicze: biologję, neurologję, psychjatrję, statystykę i t. d.

Przeprowadzono szereg doświadczeń z dziećmi, badając zasób ich inteligencji, pamięci, wyobraźni, wrażliwości, spostrzeżeń, suggestywności, fantazji, myślenia i t. d.

Rezultatem tych prac było przyznanie każdemu dziecku indywidualności i prawa do szacunku i rozwoju jego odrębności. Zaczęto głosić kult osobowości z przekreśleniem wszelkich wpływów zewnętrznych i społecznych. Powstała t. zw. pedagogika indywidualna, która znalazła swe przeciwstawienie w socjalnej, ujmującej ideały wychowawcze z przeciwnego krańca — ogólnego. Na pierwszy plan wysuwano tu wartości społeczne, poświęcenie jednostki na rzecz ogółu[1]).

Wszczęła się ożywiona polemika pomiędzy przedstawicielami tych dwu kierunków, polemika nieraz krańcowa i pełna antagonizmu, czego świadkiem jest odnośna literatura.

Wyłoniło się stanowisko pośrednie, którego wyrazem jest współczesna pedagogika, usiłująca pogodzić te dwa prądy i oprzeć wychowanie na potrzebach osobowości ludzkiej.

Wybitniejsi pedagogowie usiłują wytłumaczyć, że psychika człowieka stanowi syntezę pierwiastków indywidualnych i społecznych i, że w równej mierze nie może istnieć jednostka poza społeczeństwem, jak i społeczeństwo bez jednostki i jej indywidualnych możliwości, gwarantujących rozwój tejże społeczności.

Stąd wynikają uzupełniające się nawzajem czynności wychowawcze: rozwój właściwości indywidualnych — z jednej strony i ograniczanie swobody jednostki na rzecz dobra ogólnego — z drugiej. Arystokratyzm indywidualizmu godzi się tu z demokratyczną zasadą niwelowania różnic wobec prawa powszechnie obowiązującego. Wydo-

[1]) Temat ten doskonale charakteryzuje prof. Nawroczyński w swej książce „Uczeń i klasa" (wydawnictwo „Książnicy-Atlas").

bycie z jednostki *maximum* możliwości twórczych stało się dorobkiem dzisiejszej pedagogiki.

Stąd to pochylenie się nad dzieckiem i pilna obserwacja jego wrodzonych uzdolnień, zamiłowań i zainteresowań.

Przychodzi tu do pomocy psychologja doświadczalna i wręcza nauczycielowi pewien schemat do obserwacji, aby ją uczynić planową, ścisłą, zgodną z wymaganiami naukowemi. Schemat ten — to kwestjonarjusz psychologiczny, czyli t. zw. karta indywidualności. Tam, gdzie została wprowadzona, posiada ją każdy uczeń i stanowi jakby drugi dowód osobisty w przechodzeniu z klasy do klasy i z jednej szkoły do drugiej.

Dziecko jest obserwowane i badane, choć nic o tem nie wie. Aby je poznać — muszą być stosowane metody zewnętrzne, bo wewnętrznych danych dziecko nie może udzielić, nie może nic powiedzieć o sobie, bo nie ma jeszcze samowiedzy, niezdolne jest do introspekcji.

Metoda objektywna dąży dwiema drogami do poznania duszy dziecka: pilnej obserwacji i testowania. Pierwsza dostępna jest dla każdego nauczyciela - wychowawcy, druga — tylko dla psychologa szkolnego.

Karta indywidualności będzie dopiero wówczas dobrze wypełniona, jeżeli stan fizyczny ucznia zbada lekarz szkolny, cechy psychiczne — psycholog, etykę postępowania — wychowawca, dane o życiu domowem — rodzice, postępy w naukach—odpowiedni nauczyciele przedmiotów. W przeciwnym razie — karta będzie wypełniona nie fachowo, powierzchownie, „na oko" tego czy innego nauczyciela, nie znającego się na rzeczy.

Łatwiejszym sposobem określania osobowości ucznia jest wolna charakterystyka. Wychowawca nie jest tu skrępowany pytaniami , czy gotowemi określeniami, notuje swobodnie swoje obserwacje i jeżeli jest obdarzony spostrzegawczością i intuicją — zapiski jego będą stanowiły niewątpliwie cenny materjał orjentacyjny. Zanotowanie kilku zasadniczych rysów charakteru może dać plastyczniejszy obraz danej jednostki, niż szczegółowe odpowiedzi na mnóstwo pytań, zawartych w karcie indywidualnej. Analityczna metoda wytwarza najczęściej chaos i z zasady jest niepełna, gdyż każda indywidualność posiada wielką dziedzinę podświadomości, nie dającą się ująć wyraźnie ani zanalizować.

Przytem wyliczenie poszczególnych funkcyj psychicznych jest niewystarczające bez określenia korelacji, zachodzącej między niemi.

Czyniono wiele prób, aby kartę indywidualności postawić na wysokości zadania, aby się stała prawdziwą djagnozą psychologiczną.

Do popularnych należą: metoda psychograficzna Sterna, Marty Muchow, austrjacka.

Polskich prób jest też kilka. Wezmę pod uwagę najnowszą, wydaną w maju tego roku. Jest to karta indywidualności M. Kryńskiego.

Do karty załączony jest dodatek, wyjaśniający, w jaki sposób należy ją wypełniać.

Autor zastrzega się przed ostatecznem znaczeniem tej charakterystyki, zaznacza, że zadaniem jej jest dać wyraz tendencjom rozwojowym psychiki wychowanka.

Sposób zbierania obserwacyj jest tego rodzaju, że wszyscy wychowawcy i nauczyciele skierowują uwagę na jedną grupę cech charakterystycznych, np. na sposób pracy lub uzdolnienia, w następnym okresie czasu na drugą i t. d. Zebrane spostrzeżenia notowane są na posiedzeniach klasowych Rady Pedagogicznej.

Technika ich utrwalania jest pomyślana znakomicie: każda cecha charakteru ma swoje gotowe określenie, zaopatrzone w literę, którą się wpisuje do odpowiedniej rubryki kalendarzowej. Ta ostatnia stanowi dużą zaletę karty, gdyż psychika dziecka jest bardzo zmienna i wartość jakiegoś spostrzeżenia będzie zależna od daty i od wieku wychowanka.

W porównaniu z innemi, karta p. Kryńskiego zyskuje przewagę swą prostotą i ekonomją czasu, a przytem pozostawia miejsce do notowania obserwacyj, nieobjętych szablonem.

Określenia spostrzeżeń podzielone są na dziewięć grup: praca, lektura, uzdolnienia, zamiłowania, uspołecznienie, usposobienie i właściwości charakteru, wygląd zewnętrzny, opieka domowa oraz informacje opieki domowej.

Każda z tych grup opracowana jest na zasadach psychologji strukturalnej, łączącej poszczególne procesy psychiczne w organiczną całość. Np. w dziale, ilustrującym pracę ucznia, wysunięte są współczynniki psychiczne, decydujące o jej jakości, a więc: zainteresowanie, uwaga, stopień skupienia, tempo pracy, prawość etyczna, inicjatywa, wytrwałość, rzetelność i t. d. Wiemy jakie to posiada znaczenie w organizacji pracy szkolnej i w rozstrzygnięciu dylematu: czy wydajniejsza jest praca zbiorowa, czy jednostkowa? Albo sprawa ćwiczeń domowych a profilaktyka?

Nie mniej praktyczne znaczenie posiada kwestja lektury u dzieci. Co czytają, ile, skąd biorą książki?

Oba te działy spostrzeżeń może przeprowadzać i notować każdy inteligentny nauczyciel, natomiast zbadanie ogólnej inteligencji, rodzaju wyobraźni, pojemności pamięci, zdolności twórczych i uzdolnień różnego rodzaju — to praca, wchodząca w zakres psychologa szkolnego i nie można się zgodzić z autorem, aby tu rada pedagogiczna miała decydować, jeżeli nie chcemy mieć sądów dyletanckich w tej materji. W literaturze psychologji pedagogicznej niejednokrotnie spotykamy się z zagadnieniem: czy nauczyciel może występować w roli badacza? Większość psychologów odpowiada na to pytanie negatywnie, gdyż eksperymenty psychologiczne wymagają dużej fachowości, wprawy i intuicji, bez czego nie mogą mieć naukowego znaczenia.

Natomiast: zamiłowania, uspołecznienie, ogólne usposobienie i właściwości zewnętrzne charakteru, określenie zewnętrznego wyglądu — mogą być doskonale przez wychowawcę zaobserwowane i trafnie określone. Oczywiście, wszystko zależy od bystrości i poziomu moralnego nauczyciela, czy też całej ich grupy, orzekającej sąd o uczniu. Z ulgą stwierdzamy w planie p. Kryńskiego, że spostrzeżenia są czynione zbiorowo, wspólnie rozstrzygane i za wiedzą wszystkich notowane. Zmniejsza to możliwość pomyłek i subjektywnych uprzedzeń, a tem samem i krzywdy, której tak łatwo dopuścić się w tych delikatnych sprawach.

Karta indywidualności i jej djagnoza psychologiczna może być rozpatrywana z trojakiego punktu widzenia: teoretyczno-naukowego, praktyczno-wychowawczego i... rodzicielskiego.

Nikt nie zaprzeczy naukowego znaczenia tego rodzaju eksperymentów: niewątpliwie wzboga-

cają wiedzę i pobudzają technikę do coraz to większych subtelności. Dużą pomoc stanowią w wychowawstwie, gdyż zaostrzają zmysł obserwacyjny u nauczyciela, zmuszają go do orjentowania się i głębszego poznania dziecka oraz zainteresowania się niem, a co za tem idzie — i do obmyślenia środków poprawy ucznia.

Natomiast rodzicielski pogląd na tę sprawę nacechowany jest dużym niepokojem. Czy słusznie? Sądzę, że tak. Rodzice mają przed oczami nie obojętny objekt badania, lecz żywe, ukochane dziecko. Drżą, żeby mu się krzywda nie stała, żeby go zbyt powierzchownie lub surowo nie oceniono i co najważniejsza, żeby ta opinja nie zaważyła na jego przyszłości, nie zasuggestjonowała nauczycieli przy przejściu do innej szkoły i wogóle — żeby nie była taką „łatką", przyczepioną na całe życie.

Czy rodzice mogą mieć gwarancję sprawiedliwej oceny? Jeżeli nawet stopniowanie umiejętności danego przedmiotu naukowego w szkole wywołuje nieraz burzliwą reakcję i posądzenie o niesprawiedliwość — to tembardziej wkraczanie wgłąb duszy dziecka nie wyłącza gorzkich pomyłek.

Ale z drugiej strony — czyż nie zasięgamy rady lekarza, czyż nie żądamy od niego definicji dla dobra zdrowia, chociaż wiemy, że może się pomylić w swojej djagnozie.

Zapewne, djagnoza psychologiczna jest czemś trudniejszem i bardziej skomplikowanem, ale tak, jak lekarska, jest pożądana ze względu na poprawę zdrowia duchowego i tylko w tem znaczeniu wypełnia ona swe zadanie wychowawcze, a dzieci przestaną być li-tylko królikami doświadczalnemi.

Pojawienie się kart indywidualnych i charakterystyk w naszem szkolnictwie powinno znamionować zwrot ku lepszemu. Nareszcie szkoły przestają być tylko uczelniami, a stają się powoli instytucjami wychowawczemi, a może nawet — kuźniami charakterów.

Uczeń przestaje być tylko pionkiem, nic nie znaczącym, lecz staje się indywidualnością, z którą się trzeba liczyć.

Miejmy nadzieję, że głos charakterystyk dziecięcych zaważy na szali programów i wymagań oraz ulepszy metody postępowania z tymi, którzy obronić się nie mogą. J. G.

NAUKA i LITERATURA

NOWA KSIĄŻKA BOGUSZEWSKIEJ

Znowu historja życia jednej zwykłej kobiety, od dzieciństwa do śmierci, historja prawdziwa i smutna[1]). Dominuje tu szczególnie cecha pierwsza. Poznając dzieje Sabiny, czytelnik zapomina o książce, pochłaniają go całkowicie przeżycia bohaterki. Wędrujemy przez to całe życie i bierzemy udział w jego zwykłości i niezwykłości; szare napozór losy zawierają zmian więcej, niżby mogło się wydawać. Na tem również polega prawda książki; jest to prawda ciągłego odradzania się człowieka i chęć rozpoczynania wszystkiego odnowa. Sabina podnosi się po każdej klęsce na inne życie, zwycięża ją naprawdę tylko śmierć.

Historja Sabiny nie jest podana sposobem najprostszym: dzień po dniu. Autorka kreśli fragmenty i skrawki żywota, nie bacząc ściśle na chronologję; mimo tego osiąga zgodną i logiczną ciągłość. Przyczyna leży w niezwykłej konstrukcji książki. Bohaterka, chora — jak się domyślamy — na gruźlicę, wspomina w ciągu kilku dni, które jej zostały do śmierci, dzieje całego życia. Dzieli je na okresy, związane z szeregiem wrażeń, upodobań, przyzwyczajeń i nazywa to „przemyśleniami po sukniach, po mieszkaniach, po służących, po książkach, po zabawach i zajęciach, po porankach". Wewnątrz każdego „przemyślenia" snuje się dzieciństwo, młodość i dojrzałość, aż do chwili obecnej. Taka konstrukcja nasuwa liczne trudności, polegające przedewszystkiem na powtórzeniach sytuacyj. Autorka wychodzi z tego obronną ręką; jeśli są powtórzenia, wyjaśniają i uzupełniają rzeczy niezbyt jasne. Unika natomiast rozwlekłości i sentymentalizmu, groźnych w tego rodzaju tematach i ujęciach. Pewne dygresje myślowe, zrozumiałe przy zwykłych nawet wspomnieniach, stosowane z umiarem, nużą jednak, powracając w podobnej formie stylistycznej.

Składamy więc z łatwością podane przez autorkę fragmenty i występuje jak żywy obrazek Sabiny, jej rodziny i bliskich: właściwie niema tu postaci pobocznych, wszystkie się chętnie wspomina. Inna sprawa ze wspomnieniami „po sukniach" lub „mieszkaniach", to jest tylko tło właściwego życia. Przedewszystkiem jednak Sabina wypełnia swą osobą ramy powieści; tak być musi, gdyż ona myśli teraz przedewszystkiem o sobie i dla siebie. Zmartwychwstaje w oczach chorej to wszystko, co przeszła i pozostawia, mimo dni szczęśliwych, osad smutku.

Bo jaki jest bilans życia Sabiny? Nie miała pragnień ponad miarę, była skłonna do radości z rzeczy niewielkich — szukała zaspokojenia uczuć macierzyńskich i kobiecych, a spotkała ją klęska. Ci, których kochała, odeszli, całe życie była samotna i została samotna przy śmierci. Jest to los kobiety, na której uczucie zbyt wielkie nie umiał odpowiedzieć żaden mężczyzna, chociaż też ją kochali — Jan, Tomasz i Michał. Jan — zdradził, Tomasz — zapomniał przez rozstanie, a Michał — ożenił się z młodszą. Co było takiego w Sabinie, że mając wszelkie dane do szczęścia, nigdy nie osiągnęła go w pełni i na dłużej? Widzi to jasno teraz — tak jasno, jak człowiek umierający; przenikliwe spojrzenie ogarnia przeszłość i dostrzega Sabinę coraz to inną, zawsze różną od obecnej. Autorka nie rozważa watpliwości Sabiny i czytelnika; daje pełny i prawdziwy obraz życia — jeśli kto chce, może wysnuwać stąd wnioski; jeśli nie, niech wystarczy to, co widzi. Z. S.

OSSENDOWSKI O POLESIU

W wykwintnem wydawnictwie „Cuda Polski" R. Wegnera w Poznaniu, które już zbogaciło naszą literaturę krajoznawczą szeregiem bardzo pięknych opisów ilustracyjnych (Warszawa, Poznań, Lwów, Śląsk i in.) ukazał się obecnie nowy tom, poświęcony Polesiu. Autorem tej książki jest znany podróżnik i powieściopisarz, F. A. Ossendowski.

Bogato i nader efektownie ilustrowana książka Ossendowskiego tchnie urokiem bezpośredniej, nieporównanej świeżości i zachwyca swą szatą już na pierwszy rzut oka. Zdobią ją ilustracje z obrazów Kossaka (ojca) i Fałata, ze starych rycin i sztychów i z wielu doskonale dobranych fotografij.

„Dziwny egzotyczny kraj... mało znany i prawie niezaludniony", lasy bez dróg, „ciemne i gęste, jakby jaskinie", mokradła, torfowiska i „nieprzemierzone trzęsawisk obszary" zdają się śnić sen wiecznie. Niegdyś Polska walczyła tam z barbarzyństwem Wschodu, puszcze i jeziora hamowały rozpęd armij Karola XII i Napoleona, i bywały schroniskiem dla infamisów, banitów i złoczyńców. Rządy Polski starały się zbliżyć tę ziemię i lud do cywilizacji. Za Jagiellonów, celem nawiązania komunikacji ze światem, odwodniano bło-

---

[1]) Helena Boguszewska: „Całe życie Sabiny", Warszawa 1934, str. 248.

ta zbudowany został Kanał Królewski, a za Stanisława Augusta Kanał Ogińskiego, hetmana litewskiego, jego kosztem i według projektu Butrymowicza, podstarościego pińskiego i posła na Sejm Czteroletni. Wśród pustyni powstawały miasta, zamki, kościoły i klasztory, szpitale, fabryki, szkoły, drukarnie, bibljoteki i teatry. Poczęło się rolnictwo i przemysł rzemieślniczy, swoisty: garncarstwo, smolarstwo, bartnictwo, tkactwo, hafciarstwo, hutnictwo, przyczem lud leśny i wiejski zachowywał, i prawie niezmiennie zachował do dziś, szczególne swe cechy wierzeń, guseł, legend i obyczajów, strojów, chat, warsztatów, kapliczek i cmentarzów.

We wszystkie te dziedziny życia dotarł i odtworzył je Ossendowski, przyrodnik, historyk i myśliwy. Geologiczną strukturę ziemi, jej faunę i o dzikim, pierwotnym charakterze, roślinność w różnych porach roku, łowiectwo i rybołóstwo, walkę człowieka z siłami żywiołów, słowem wszystko to, co stanowi życie Polesia, uwydatniło pióro Ossendowskiego w perspektywie historycznej i na szerokiem tle krajobrazów, wszechstronnie.

Książka o Polesiu jest wybitnem studjum krajoznawczem, tem cenniejszem, że promieniejącem blaskiem słowa. Poucza o twórczej potędze przeszłości, opowiada żywoty wielkich mężów, pochodzących, jak Kościuszko, z Polesia lub dla kultury Polesia zasłużonych. Czytelnik poddaje się sentymentowi autora i wczuwa się w przytoczone na wstępie książki, jako *motto*, słowa poety: „To Polska, to ojczyzna nasza". A. W.

ZE ŚWIATA SZTUKI

W LISTOPADZIE wystawom Zachęty przewodniczył zbiór prac Leona Wyczółkowskiego. Oprócz kilku pejzaży, których tematem (jeszcze raz) są, tak umiłowane przez artystę drzewa, znakomity malarz wystawił 22 krajobrazy z Gościeradza, wykonane kredą kolorową. Ponieważ Wyczółkowski jest jednym z najwybitniejszych przedstawicieli polskiego impresjonizmu, a ściślej mówiąc pleneryzmu, kierunku już poniekąd historycznego, przeto możnaby sądzić, iż dzieła artysty wydają się czemś nieco staroświeckiem wobec współczesności. Lecz zachowana i nie-stępiona wrażliwość, możność reagowania jak dawniej, na piękno świata zachwytem i wzruszeniem, czyni z tych plastycznych dokumentów przeżyć artysty dzieła nadal świeże i młode.

Wszystko niemal, co wychodzi poza obręb notowania materj.lności świata widzialnego, wielu współczesnych malarzy chętnie chrzci pogardliwem mianem „literatury". I pod tym względem właśnie rozpatrywane, pejzaże z Gościeradza dostarczają nam materjału do nadzwyczaj ciekawych spostrzeżeń. Bo Wyczółkowski zawartość swych pejzaży redukuje do *minimum*; czasem zawierają one dosłownie parę kresek i plam, w dodatku bardzo nikłych — co powinno być po myśli wrogów „literatury" w malarstwie. Lecz jednocześnie, przy pomocy tych świadomie ograniczonych środków, pragnie uwięzić w prostokącie obrazu coś, o czem nigdy nie myślą przeciwnicy „literatury" w obrazie. Oto wszystko tu się tak kształtuje, by, doceniając zarazem zmysłową wartość malarstwa, dać pewien wyraz, nastrój, pokazać nietylko zewnętrzne piękno krajobrazu, ale utrwalić nieledwie czar, który zeń emanuje.

Przeciwnicy rozwiniętej treści tematologicznej w obrazie sięgają chętnie do tematów najprostszych, np. „martwej natury"; nie można sobie nic prostszego w temacie wyobrazić od pejzaży Wyczółkowskiego — więc tu ich dążenia jakby się zbiegają. Nie chodzi jednak o rzecz samą, lecz o to, co artysta chce i potrafi w niej zobaczyć. Tutaj właśnie rozchodzą się drogi Wyczółkowskiego i tamtych. Jedni, odtwarzając rzeczywistość, pozostają przy niej, dla innych staje się ona odskocznią.

Jeżeli sztuka czerpie z natury, to jej opis — wydaje mi się — wtenczas jest skończenie artystyczny, kiedy łączy prostotę z dokładnością.

Odpowiedź na pytanie, co to znaczy być artystą, według mnie, brzmi: umieć opisać rzecz najprostszemi słowy, a zarazem jaknajdokładniej. Sama prostota, pojęta jako ograniczenie, jest łatwa, lecz prowadzi do ubóstwa lub prostactwa. Sama dokładność — do gadulstwa albo opisu w rodzaju protokułu policyjnego. Dopiero zadośćuczynienie jednoczesne obojgu, może dać w wyniku dzieło sztuki.

„Pejzaże z Gościeradza" Wyczółkowskiego, wydają mi się wymowną ilustracją tej prawdy. Wnikliwe spojrzenie artysty, poparte siłą pierwszego wrażenia, starało się wydobyć z pejzażu jego cechy najistotniejsze, najbardziej charakterystyczne (dokładność), a zarazem decyzja doświadczenia odrzucała wszystko, co zbędne, mniej ważne, drugorzędne, nic nie mówiące, nieistotne, dążąc w ten sposób do wymownej lakoniczności sztuki. Plastyk wyszedł z najbardziej słusznego dla artysty założenia: mówiąc jaknajmniej — powiedzieć jaknajwięcej. W niewielkiej ilości kresek, plam i barw pomieścił Wyczółkowski bezmiar łagodnego nieba, dal perspektyw, szeroki 'oddech ziemi, wymowę drzew, charakter i urok naszego krajobrazu.

WIKTOR PODOSKI

MUZYKA

WIECZÓR poświęcony muzyce belgijskiej, urządzony pod protektoratem fundacji muzycznej królowej Elżbiety, (w sali IPS'u, w niedzielę 2 grudnia, z okazji zamknięcia wystawy plastyki belgijskiej) nie ograniczył się jedynie do pokazania twórczości, jak to uczyniono, jeśli idzie o malarstwo, powstałej w okresie niepodległości państwowej. I słusznie.

Szkoda jednak, że nie zilustrowano ani jednym utworem epoki, w której muzyka tego kraju panowała wszechwładnie, wywierając wpływ na całą Europę, a mianowicie wieku XV-tego i XVI-tego, pokazując dopiero jedną z najsilniejszych indywidualności muzycznych, osiemnastowiecznego Gretry'ego intelektualistę i estetyka, który wraz z Gossec'em tworzą dobraną parę i jakże charakterystyczną dla... Francji. Obaj są bowiem silnie związani z okresem Wielkiej Rewolucji, pierwszy przez swój typ psychiczny, drugi przez oficjalne węzły, czyniące zeń niejako muzycznego Dawida. Jakże niepodobną do nich jest postać innego Belga, który również odegrał dużą rolę w muzyce francuskiej, że aż ją zdołał podważyć dopiero taki talent, jakim był Débussy, organisty katedry Notre-Dame a potem kościoła Ste Clotilde, Césare'a Francka. Zgromadził on wokół siebie całą muzyczną Francję, skierowując jej uwagę ku zagadnieniom instrumentalnym, a odciągając od stylu dramatycznego.

Nic też dziwnego, że indywidualność jego, nawet już ciążąca na twórczości francuskiej, do dzisiejszego dnia ma licznych przedstawicieli w Belgji, grupujących się wokół t. zw. szkoły wallońskiej, z której należy wymienić Guillaume'a Lekeu, Józefa Jongena, Theo Ysaye oraz Dupuis.

Szkołę tą zilustrowano w niedzielę paroma pieśniami, świetną sonatę na skrzypce Lekeu'a, *trio* fortepianowem Jongena i kwartetem ojca duchowego grupy — Francka.

Żałować należy, że pominięto zupełnie szkołę flamandzką, wytworzoną w Antwerpji około ciekawej postaci Piotra Benoit. Szkoła ta, której najwybitniejszymi przedstawicielami byli Jan Bloch, Wambach i Mortelmans, w zestawieniu z poprzednią, jest ciekawym przykładem krzyżujących się wpływów, składających się na kulturę współczesnej Belgji.

Nie sposób jest paminąć, nie reprezentowanych wcale w programie audycji (bo i niemożliwą jest rzeczą pokazać jednego wieczoru wszystkich) Adolfa Samuela, w którym wyraźnie widać cechy tak charakterystyczne dla Berlioza Liszta, oraz z nowszych Moulaerta, ulegającego sile genuszu Débussy'ego.

Są to zjawiska odosobnione, większość bowiem kompozytorów posiada swój odrębny charakter, aż zadziwiająco mało ruszony przez najnowsze zdobycze formalne.

Wymienimy tu Lunssena, Ryelandta, Gilsona, de Boecka, Rawaya, von der Eedena, Rasse'go, Hoérée'go. Na tem tle ciekawie wygląda postać księdza van Nuffela, który odważył się w swojej sztuce religijnej na koncepcje o niespotykanym jeszcze wyrazie, oraz Edgara Tinela, najwybitniejszego obok Adolfa Samuela przedstawiciela romantyzmu.

Muzyka belgijska siedzi głębokiemi korzeniami w przeszłości. Charakter jej jest przejawem starej kultury, tkwiącej niezwykle mocno w instynktach. Tem się też tłomaczy odporność na płynące wartkim prądem ideje i pomysły, które są przejawem chwili bieżącej, gnanej jakiemś zabójczem tempem; często, zanim zdołają pozostawić jakieś piętno, znikają, układając się posłusznie i jakby z oznakami zmęczenia w zasoby... przeszłości.

Belgja, reprezentująca niewielki skrawek Europy, siłą właśnie swej wielkiej kultury staje w szeregach narodów o nadzwyczaj silnej ekspansji.

Panowała ona przed czterema wiekami swoim stylem kontrapunktycznym, na którego zasadach komponowali wszyscy. Błyszczała potem potężnemi postaciami talentów malarskich. Przez osoby Gretry'ego, Gosseca i Césarego Francka odegrała ogromną rolę w dziejach muzyki francuskiej. Przykłady te mówią wiele. Wskazują na istotną siłę i źródło siły duchowej, jakiem jest naród. Sądzenie o mocarstwowości na podstawie tylko tylu a tylu kilometrów kwadratowych, składających się na obszar państwa, zuboża nasze pojęcia, sprowadzając je do stanu mocno prymitywnego. Wielkość Belgji, jeśliby ją już należało koniecznie mierzyć długością linji granicznej, musiałaby w stosunku do siły, jaką przedstawia, urosnąć do rozmiarów, któreby doprawdy zdumiały. Nie można budować państwa, niszcząc wartości narodowe. Wówczas bowiem moglibyśmy się spotkać ze zjawiskiem wręcz odwrotnem, aniżeli to, które przytoczyłem przed chwilą.

W. NARUSZ

FILM

ŚWIATOWID: „Imeratorowa", reż. J. Sternberg.

Sternberg ma w swoim dorobku lepsze filmy. Tu szwankuje budowa treści, całość nie jest dobrze skonstruowana, razi pozatem zbyt już bezceremonjalne traktowanie nietylko prawdy historycznej, ale i wogóle historji. Mnie osobiście najwięcej gorszy brak, w pewnych momentach, logiki artystycznej. A więc: z jednej strony troska o ścisłe, naturalistyczne odtworzenie epoki (kostjumy, przytłaczająca wprost obfitość zabytkowych szczegółów), z drugiej — chwyty zupełnie innej kategorji: pokazywanie rzeczy, których wcale nie było, użytych tutaj dla wywołania odpowiedniego nastroju, np. rzeźbione maszkary, w rodzaju chimer z Notre-Dame, rozmieszczone w obfitych porcjach po całym pałacu. Tak samo (zapewne również dla nastroju) reżyser nie potrafił powstrzymać się od zafundowania sobie wielkich i ciężkich wierzei, zamiast drzwi (w XVIII wieku!). To niezdecydowane balansowanie między naturalizmem, a stylizowaną nastrojowością, więcej mnie razi, niż przeniesienie (przez reżysera) stolicy z Petersburga do Moskwy. Bo gdyby naprawdę stolica była w Moskwie, czyżby film wtenczas zyskał artystycznie?

Także o ujęcie postaci Katarzyny Wielkiej nie będziemy się sprzeczać.

Pozostają, jako zaleta fimu, prześliczne zdjęcia, jak zwykle u Sternberga, o soczystym i głębokim światłocieniu, a wśród nich szereg fragmentów, o dużej wartości plastycznej. Podejrzewam Sternberga, iż korzysta często z lada pretekstu, by uczynić ekran terenem rozkosznych igraszek wizualnych, pomyślanych przez prawdziwego artystę. Sceny z zasłoną z tiulu, wyzyskanie jego efektów — bardzo piękne.

Katarzynę gra oczywiście Marlena Dietrich.

KANDYD

NOWE KSIĄŻKI

Kerschensteiner Georg. Pojęcie szkoły pracy. Przet. B. Jakubowski. 1034. Książ. Atlas. S. 186 i tabl.

Wortman Jan. Sofizmat na usługach absurdu. Secesyjne prądy w nauce. Warsz. 1934. Dom Ks. Polskiej. S. 64

Pilecki Jerzy. Zagadnienie władzy zwierzchniej w państwie. Warsz. 1934. S. 40.

Ruch Literacki. Wrzesień, Nr. 7.

Płomieński Jerzy Eug. Szukanie współczesności. Studja i glossy literackie. Warsz. 1934. F. Hoesick. S. 217.

Tieleborn Antoni. Poezje. Tamże.

Jarecka Gustawa. Stare grzechy. Powieść. Warsz. 1934. F. Hoesick.

Prawdzic Henryk. Słowa czarne i czerwone (Poezje). Tamże.

Hiż Tadeusz. Hejnał: (Poezje). Tamże.

Szpotański Stanisław. Pustowojtówna. Powieść. Warsz. 1934. F. Hoesick.

Wroczyński Ryszard. Ideje dramatów Al. Świętochowskiego na tle pozytywizmu warszawskiego. Kraków 1934. Skład gł. w księg. naucz. w Białymstoku. 1934. Str. 134.

Niepodległość. Warsz. t. X, zesz. 3 (26).

Bielecki Adam. Spiekota (Poezje), Warsz. 1934. Gebethner i Wolff.

Visentini Olga. Zwycięstwo nart. Warszawa, B-cia Drapczyńscy.

Bandrowski Jerzy. Pałac połamanych lalek. Powieść. Warsz. Dom Książki Pol.

Iwaszkiewicz Jarosław. Czerwone tarcze. Powieść. Warszawa, Geb. i Wolff.

Berent Wacław. Nurt. 2 tomy. Pisma t. VIII i IX. Warszawa. Geb. i Wolff.

Piszczkowski Mieczysław. Przyczyny upadku Polski a chwila bieżąca. Lwów, 1934. B. Połoniecki. S. 47.

Imber S. J. Asy czystej rasy. Kraków, 1934. Nakł. własnym. S. 221.

Wereszczyński Antoni dr. Państwo antyczne i jego renesansy. Wyd. II. Lwów 1934. Ossolineum. S. 277.

Żeleński Tadeusz (Boy). Obrachunki Fredrowskie. Warsz. (1934). Gebet. i Wolff. S. 263.

Locy Wiliam. Badacze życia. Pod red. prof. J. Wilczyńskiego. Warsz. (1934). Geb. i Wolff. S. XIII i 488.

Ghéon Henri. Droga krzyżowa. Przeł. Beota Obertyńska. Poznań (1934). Księg. św. Wojciecha.

Grodzicka Michalina. Generałowa Zamoyska. Poznań (1934). Ks. św. Wojciecha. S. 61.

Bandrowski Jerzy. Pilot św. Teresy. Bohaterskie dzieje Ojca Bourjade. Poznań (1934). Ks. św. Wojciecha.

Toth Tihamer. Życie piękne i czyste. Poznań (1934). Ks. św. Wojciecha.

Gasparri Piotr kard. Katechizm katolicki. Poznań (1934). Ks. św. Wojciecha. S. XIX i 487.

Przegląd Powszechny. Kraków, listopad.

Przegląd Współczesny. Kraków, listopad.

SPROSTOWANIE

W ostatnim (51) zeszycie „Myśli Narodowej", w rubryce „Ofensywa", przypadkowo, wśród wyliczonych nazwisk współpracowników „Ilustr. Kurjera Codziennego", znalazło się nazwisko ks. dr. Jana Piwowarczyka z Krakowa. Ks. Piwowarczyk nadsyła nam w tej sprawie sprostowanie, które najchętniej zamieszczamy:

„...nigdy, ani w przeszłości, ani obecnie nie pisałem w „I.K.C." lub w jakiemkolwiek wydawnictwie „I.K.C.", a to z tego względu, że uważałbym za ujmę dla swego kapłańskiego honoru współpracę w wydawnictwach „I.K.C."...

OFENSYWA

TAKO RZECZE BENJAMIN FRANKLIN

KOLEGA dr. Margosches Samuel, wybitny działacz i polityk amerykański, z procederu dziennikarz, ale zato urodzony w Tarnobrzegu czy też Tarnopolu *(Lodomerry old Galicia)*, przebywał w jesieni we wrześniu jakiś czas w Warszawie. Kolega dr. Margosches był łaskaw dać „Naszemu Przeglądowi“ tak zwany wywiad, w którym ku pokrzepieniu serc rodaków w ten sposób wypowiedział się łaskawie o dzisiejszej sytuacji swoich współrasowców *in Dollarland.* (20.IX.1934):

„Nigdy jeszcze w historji Stanów Zjednoczonych A.P. Żydzi nie odgrywali tak wielkiej roli w polityce i gospodarce amerykańskiej, jak właśnie obecnie. Wśród 9 sędziów Najwyższego Trybunału St. Zjedn., który reprezentuje najwyższy autorytet w Państwie, są dwaj Żydzi Brandeis i Cardozo. Na 48 gubernatorów Stanów jest pięciu Żydów. Nie świadczy to chyba też o zaniku wpływów żydostwa amerykańskiego... Wśród tych 5-ciu gubernatorów— Żydów—jeden rządzi największym i najważniejszym stanem. Jest nim p. Lehman. Burmistrz Nowego Jorku, La Guardia jest synem Żydówki, wice burmistrzem Nowego Jorku jest Bernard Deutsch, prezydent żyd.-amerykańskiego Kongresu. W nowej polityce ekonomicznej St. Zjedn. odgrywają Żydzi doniosłą rolę. Ministrem skarbu St. Zjedn. jest Żyd — Morgenthau, ambasadorem St. Zjedn. we Francji jest Żyd — Straus, prof. Frankfurter, Bernard Baruch są głównymi doradcami gospodarczymi prezydenta Roosevelta”. I t. d. i t. p.

Jest tak. Margosches nic nie zełgał. Nie tylko nie przesolił, ale może nawet nie dosolił. Może nawet jest jeszcze gorzej. Po ostatnich wyborach stanowczo jeszcze gorzej. Przeszło ich jeszcze więcej do kongresu i senatu. Pani Roosevelt wyraźnie w wyborach stanęła po stronie komunistki — żydówki (Dorothy Froock), co już wywołało nie tylko konsternację, ale ogólne oburzenie. Prezydent zaś powołał do działalności nową, przyboczną radę permanentną, w której na głównych skrzypcach — grają: wszechwładny sekretarz skarbu Morgenthau *junior* oraz żydzi: Jakób Wiener, Herbert Feist, Leisersohn, Bernard Baruch (przywrócony do łaski) i gromada innych. To faworyzowanie i otaczanie się wyłącznie żydami doszło już u prezydenta do obsesji, co bardzo szczęśliwie się składa, gdyż wywołuje wreszcie wprost niespodziewaną reakcję i kontrakcję. Ostatnio przeciw cezarycznemu obłędowi, podpieranemu z najwyższym wysiłkiem przez całe zjednoczone, przepotężne żydostwo z Eddie Cantorem (błazen filmowy) na czele, wystąpili Hoover, prof. Millikan, dwóch bliskich krewnych Rooseveltów i cały szereg senatorów i kongresmanów.

Po raz pierwszy też wyciągnięto pod światło i opublikowano wypowiedzenie się w sprawie żydowskiej samego... Benjamina Franklina.

Wydobyto mianowicie niedrukowany pamiętnik członka pierwszego kongresu konstytucyjnego Stanów Zjednoczonych Pinckneya, z mowami pierwszych członków Kongresu i z mową Benjamina Franklina, wygłoszoną w r. 1787.

Publikacja tego proroczego głosu z za grobu wywołała w Stanach Zjednoczonych wstrząsające wrażenie.

Ogłoszona w tydzień po wyborach (a więc spóźniona), nie mogła wpłynąć niestety na przebieg wyborów, w których *l'homme qui rit* odniósł jak wiadomo olbrzymie, pyrrhusowe zwycięstwo.

Benjamin Franklin mówił o żydostwie w Ameryce co następuje:

„Gentlemani — Największe niebezpieczeństwo, któremu Stany Zjednoczone Ameryki będą musiały się stanowczo przeciwstawić, to żydzi. W każdym kraju, w którym żydzi osiedlili się w większej liczbie, obniżali stale przedewszystkiem jego poziom moralny; rozbijali jego spoistość i solidarność kupiecką; odosobniali się i nigdy i nigdzie się nie zasymilowali; religję chrześcijańską, na której dany naród się opierał, wyszydzali, starając się podkopać ją na każdym kroku i najwymyślniejszemi sposobami, tworzyli stale naród w narodzie, państwo w państwie.

Jeżeli jednak zdarzyło się, że zwrócono na nich uwagę i w jakibądź sposób im się przeciwstawiano, wtedy sięgali po wszelkie środki, by taki kraj zrujnować, jak to uczynili z Hiszpanją i Portugalją.

Żydzi od przeszło siedemnastu wieków opłakują wygnanie swoje z Palestyny, którą nazywają swoją ojczyzną. Ale zapewniam was, Gentlemani, gdyby świat kulturalny zdecydował się oddać im dziś Palestynę na własność, wtedy odrazu znaleźliby tysiące powodów, by tam nie wracać. Dlaczego? Ponieważ są wampirami, a wampiry nie mogą żyć z wampirów. Oni sami między sobą istnieć nie mogą. Oni muszą pasorzytować na barkach chrześcijan i innych ludów, nie należących do rasy żydowskiej.

„Jeśli w przedłożonym tu projekcie Konstytucji nie wyłączycie żydów z granic Stanów Zjednoczonych, natenczas nie przeminą dwa stulecia, a żydzi napłyną tu tak masowo, że kraj nasz opanują i pożrą, ba, zmienią Konstytucję naszą, za którą my, Amerykanie, przelewaliśmy krew, poświęcaliśmy nasze życie i mienie, ryzykowaliśmy naszą wolność i której poświęcaliśmy myśli nasze najlepsze i najszczytniejsze. Jeśli wy ich nie wyłączycie, natenczas potomkowie wasi będą tymi, którzy tam na polach w pocie czoła pracować będą w służbie u żydów, a żydzi, tucząc się ich pracą, będą się rozpierali w kantorach i zacierali ręce z zadowoleniem.

„Ostrzegam was, Gentlemani; jeżeli wy żydów nie wyłączycie z ziem naszych po wszystkie czasy, wtedy dzieci waszych dzieci przeklinać będą pamięć waszą!

„Żydzi są Azjatami, Gentlemani. Gdziekolwiek się urodzili i przez ilebądź wieków pozostawaliby poza granicami Azji, nigdy się nie zmienią. Dusza ich jest i pozostanie zawsze obca i wroga duszy Amerykanina, choćby przez dziesięć i więcej generacyj żyć mieli wśród nas. Lampart nie zatrze i nie zmieni nigdy centkowanej swej skóry. Żydzi są Azjatami i wyrosną na największe niebezpieczeństwo tego kraju, gdybyśmy ich tu wpuścili. I dlatego należy ich ustawowo raz na zawsze z granic Stanów Zjednoczonych wyłączyć!”

Tako rzecze Benjamin Franklin.

Rok 1787.

Tekst podajemy za amerykańsko-polskim, sanacyjnym „Kurjerem Narodowym”, w polskim przekładzie po raz pierwszy.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

W społeczeństwie dało się zauważyć zaniepokojenie z powodu mnożących się oznak upadku moralności. Pokazuje się, że polityka, aczkolwiek w zasadzie sanacyjna, nie dociera do sumień. W kołach sanacyjnych, jak wiadomo, czujnie badających wszelkie możliwości rozbudowy państwa, zrodziła się na tem tle myśl stworzenia systemu Izb cnoty na wzór projektowanych Izb kultury.

Ciała radzieckie Izb cnoty składałyby się z delegatów ugrupowań politycznych, społecznych i kulturalnych i miałyby zadanie kontroli nad życiem prywatnem obywateli. Oczywiście, tak wielkie zadanie wymagać będzie odpowiedniej rozbudowy biur, zarówno w stolicy, gdzie będzie Izba centralna, jak i w terenie. W każdem miasteczku sekcje terenowe prowadzić będą lokalne kartoteki cnoty, drugi ich egzemplarz znajdzie się w Izbach wojewódzkich, trzeci w Izbie centralnej.

Na utrzymanie Izb cnoty pobierany będzie specjalny podatek od kapitałów nieprawnie i niemoralnie przywłaszczonych, które odtąd pozostawać będą pod specjalną ewidencją. Kapitały te, dobrowolnie deklarowane, korzystać będą z ulg podatkowych i immunitetu prawnego. Przy Izbie centralnej istnieć będzie kapituła orderu *virtuti civili*.

Nowości gwiazdkowe

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ S. A. w Warszawie wydaje książki tylko autorów polskich. Na pierwszem miejscu tegorocznych nowości gwiazdkowych tej firmy wymienić należy powieść dla dorastających panienek:

H. Auderskiej, **„POCZWARKI WIELKIEJ PARADY, pamiętnik maturzystki"**, będącą debjutem literackim. W ramach ostatniego roku nauki w gimnazjum żeńskiem, stołecznem, pamiętnik opisuje pensjonarskie, szkolne i prywatne życie kilkunastu dziewcząt, które wkrótce stać się mają mniej lub więcej samodzielnymi członkami społeczeństwa. Humor autorki, niezwykle płynna, swobodna forma opowiadania i djalogów, uczynią z tej książki ulubioną powieść starszej młodzieży, chociaż przeczytać ją też powinno i „ciało pedagogiczne". Cena zł. 4,50, w oprawie 5,50.

W setną rocznicę narodzin *Jadwigi Łuszczewskiej, DEOTYMY*, wyszło czwarte wydanie jej uroczej powieści p. t. **„PANIENKA Z OKIENKA, starodawny romansik"**. Jest to przemiła romantyczna historja z XVII wieku, jedyna powieść dla młodzieży, napisana na tle Gdańska i jego stosunku do Polski. Bardzo staranne wydanie książki, z pięknemi rycinami *A. Gawińskiego*, jest prawdziwym hołdem wydawcy w roku jubileuszowym Deotymy. Cena zł. 3,80, w opr. 4,80.

Znakomitego autora „Huraganu", *Wacława Gąsiorowskiego*, ukazały się w II-em wydaniu, po wieloletniej przerwie **„ORLĘTA"**, zawierające wybór wojskowych opowieści napoleońskich: Czworobok, Potocki, Raport, Instrukcja, Ambulans, Odwrót, Bunt, Baterja. Tych ośm kapitalnych opowieści, to szereg przykładów żołnierskiej brawury, żołnierskiego poświęcenia, poczucia honoru i spełnienia obowiązku. Przykłady klasyczne, godne zapamiętania, są świetną lekturą dla starszej młodzieży i słuchaczy szkół wojskowych. Książka ozdobiona jest doskonałemi rycinami Jana Reszkego (syna znakomitego śpiewaka). Cena zł. 4,50, w opr. 5,60.

Wreszcie w ponownych wydaniach ukazały się dwie bardzo dobre powieści historyczne *Walerego Przyborowskiego:* **„MŁODZI GWARDZIŚCI"**, powieść z czasów oblężenia Warszawy przez Prusaków w 1794 r., i **„NAMIOTY WEZYRA"**, powieść z czasów Jana III Sobieskiego (odsiecz Wiednia). Opatrzonę zostały przedmowami prof. H. Mościckiego i doskonałemi rycinami. Zwłaszcza „Namioty Wezyra", zasługują na szczególną uwagę. Będą to doskonałe upominki tegoroczne dla dzieci od lat 10-ciu. Cena każdej książki Przyborowskiego zł. 4, w opr. zł. 5.

Jak wszystkie wydawnictwa Domu Książki Polskiej, omówione przez nas książki wydane zostały nadzwyczaj starannie i naprawdę są godne polecenia.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM